

*Marek Hłasko – prawdziwe zmyślenie*

Osoby:

Pisarz

Ona

Dziennikarz

Hans

Spiker

Spikerka

Marek Hłasko gdyby żył, jestem pewien, że takiego właśnie wywiadu mógłby udzielić. Nie brzmiałby on oczywiście identycznie jak ten tutaj, ale całkiem prawdopodobne, że niezbyt daleko odbiegałby od niniejszego. Podobnie zresztą mogłoby być również w przypadku rozmowy telefonicznej ze swoją byłą żoną. Tak mogłoby się stać, oczywiście, pod jednym tylko warunkiem: że M. Hłasko był uczciwy w swoich książkach. Osobiście jestem pewien, że taki właśnie był, stąd ten wywiad – wywiad, używając jego terminologii literackiej, jako przykład tzw. *prawdziwego zmyślenia*.

Muzyka: utwór W. Wysockiego zatytułowany *Kocham cię teraz* (Lubliu tiebia siejczias).

W pomieszczeniu rozlegają się kroki; po chwili słychać wykręcanie numeru na tarczy telefonu. Po siedmiu głuchych dźwiękach następuje odłożenie słuchawki.

Pisarz: Esther, kochanie, gdzie jesteś?

Po chwili ponownie rozbrzmiewa wykręcanie numeru. Tym razem jednak po dwóch sygnałach następuje podniesienie słuchawki.

Ona: Słucham.

Pisarz: Już się obawiałem, że cię nie zastanę.

Ona: Nie mogłeś – czekałam na ten telefon, przecież wiesz.

Krótką pauza.

Jak rozmowy?

Pisarz: Jestem właśnie po kolaudacji.

Ona: No i?

Pisarz: Podobało się. Nawet bardziej, niż się spodziewałem.

Ona: Gratuluję! A umowa?

Pisarz: Podpisana. Teraz film telewizyjny według *Wszyscy byli odwrócenii*, a w najbliższym czasie kilka nowych projektów – na początek książka i słuchowisko. Szykuje się dłuższa współpraca z ZDF-em.

Ona: Nareszcie!

Pisarz: Jest tylko...

Ona: O co chodzi?

Pisarz: Twoje nazwisko.

Ona: Co – moje nazwisko?

Pisarz: Było umówione, że po ukazaniu się wszystkich nazwisk biorących udział w projekcie, pojawi się twoje: Sonja Ziemann.

Ona: Tak było ustalone, to prawda.

Pisarz: Chodzi o to, że do nazwiska dodano – „jako Ursula”. „Sonja Ziemann jako Ursula” – tak to teraz wygląda.

Ona: Tylko o to chodzi?

Pisarz: Uważasz, że to mało?

Ona: Do przełknięcia. Może nawet lepiej że tak jest. Wielu widzów może mnie jednak nie znać. Taka informacja powinna zadziałać pozytywnie.

Pisarz: Naprawdę tak myślisz?

Ona: Naturalnie. To głupstwo. Nie widzę w tym problemu.

Pisarz: Może powinnaś jednak zmienić menagera? Harry Heidemann, to nie jest najlepszy wybór, Sonju. Sama dobrze o tym wiesz.

Ona: Nie, kochanie, w swoich związkach, również zawodowych, zawsze jestem lojalna. Dlatego muszę zostać.

Pisarz: Cała ty!

W słuchawce rozlegają się trzaski.

Ona: Halo? Halo!?! (Delikatnie stuka palcem w słuchawkę.)

Pisarz: Sonja!

Ona: Jakieś zakłócenia. Mógłbyś powtórzyć ostatnie zdanie? Zdaje się, że nie wszystko dobrze usłyszałam.

Pisarz: Nieważne.

Ponowne trzaski.

Halo? Marek?!

Pisarz: Tak? Sonja, halo?!

Ona: Marek?

Trzaski ustają.

Pisarz: O, teraz cię słyszę. Mówiłem, że jesteś diablica: specjalnie wywołałaś te zakłócenia. Jak nie chcesz ze mną rozmawiać, to powiedz.

Ona: Zauważyłeś?

Pisarz: Więc jednak nie chcesz...

Ona: Głuptas. Pytam, czy zauważyłeś, że nie tak łatwo nas rozłączyć. Nawet nasz rozwód nie był w stanie tego zrobić.

Pisarz: I nie rozłączy! Byłaś, jesteś i pozostaniesz na zawsze w moim sercu.

Ona: Wiem, kochanie. Napisałeś mi to już. Tylko inaczej.

Pisarz: Napisałem? Wstyd nie pamiętać, ale przypomnij starcowi.

Ona: Moje zdjęcie i twoja dedykacja.

Pisarz: Rzeczywiście! „Wszystko przeminie z wyjątkiem twojej twarzy”.

Ona: Dokładnie tak napisałeś.

Pisarz: Napisałem tylko prawdę. Przecież wiesz – mam tylko ciebie na świecie i...

Ona: I jeszcze kilka innych kobiet.

Pisarz: Sonja!

Ona: Przyznaj się: ile ich miałeś po naszym rozstaniu? Bo jakoś trudno mi uwierzyć w twoją seksualną wstrzemięźliwość.

Pisarz: Mało.

Ona: Rozumiem, chciałbyś więcej.

Pisarz: Nie, na miłość boską! Mało, bo nie miałem na nie czasu. I tak czy inaczej już tego nie nadrobię.

Ona: Nie żałujesz?

Pisarz: Dlaczego to robisz?

Ona: Denerwuje cię to?

Pisarz: Irytuje.

Ona: Może ciekawość? Tak, to po prostu zwykła babska ciekawość.

Pisarz: Dobrze. Wiedz, że ze wszystkich rzeczy na świecie tej właśnie żałuję najmniej.

Ona: Naprawdę?

Pisarz: Naprawdę.

Ona: A Betty Ray?

Pisarz: Cóż, Betty? Zamknięty rozdział. Myślałem, że mamy to już za sobą.

Ona: Ja też mam taką nadzieję. Gorzej z jej mężem – dla niego, obawiam się, to rozdział ciągle otwarty. Jak jęcząca się ustawicznie rana.

Pisarz: Naprawdę musisz o tym mówić? I tak bez tego czuję się parszywie.

Ona: Zawiodłeś mnie. Nicolasa również. Traktował cię jak brata – wiesz o tym. Po śmierci Jamesa Deana, który zagrał w jego

filmie, z tobą właśnie wiązał ogromne nadzieje. Mogły powstać świetne projekty.

Pisarz: Wiem. I przepraszam. Ale czy musimy do tego wracać? To nigdy nic nie znaczyło, tylko ty się wtedy liczyłaś. Zawsze...

Ona: Muszę przyznać, że dosyć specyficznie to okazałeś.

Pisarz: Przykro mi, że tak się stało. Jeżeli to cokolwiek zmieni, to wiedz, że żałuję.

Milczenie.

Ona: Gdyby naprawdę zależało ci na mnie, przyjechałbyś do Londynu. Byłam tam i czekałam na ciebie – przez dwa długie tygodnie sierpnia. Nie przyjechałeś, nie napisałeś ani nie wysłałeś telegramu, nawet nie zadzwoniłeś! Nic, cisza, jakbym umarła. Dla ciebie naturalnie. Więc...

Pisarz: Odrzuciłaś mnie.

Ona: Nie zaczynaj znowu, proszę cię. Zawsze umiałeś dramatyzować. Chociaż nie, raczej – jak ty to nazywałeś: „wyrobić się dramatycznie”, tak?

Pisarz: Więc uważasz, że to tylko gra z mojej strony.

Ona: Nie twierdzę że „tylko”, ale że lubisz dramatyzować. W ten sposób, myślę, potęgujesz koloryt życia. A że masz wycucie literackie, czujesz scenę, więc z tego korzystasz. Tylko wiedz, że jak się z tymi środkami przedobrzy, to wpada się w śmieszność. I zapamiętaj to, bo mówi ci o tym aktorka.

Po chwili.

Pisarz: Więc uważasz, że nasz rozwód...

Ona: Wydawało mi się, że jak się nie odzywasz, to znaczy, że albo tego chcesz, albo jest ci to obojętne. Poza tym, co jak co, ale ascezy w tym zakresie nie można się po tobie spodziewać. W końcu niedaleko była żona Nicolasa.

Pisarz: Pisałem przecież listy. Choćby ten w siódmą rocznicę naszego ślubu. Poza tym, ile razy mam powtarzać, że to nie ja ją kochałem, tylko ona mnie. Nie odpowiadam za uczucia żadnej kobiety do mnie. Betty nie była tutaj żadnym wyjątkiem!

Ona: Wiem. Ale te wszystkie słowa w twoim listach, to były tylko słowa – nie ty. Słów miałam dosyć, jako aktorka mam ich aż nadto, chciałam ciebie. A ty fizycznie pozostawałeś na drugiej półkuli. Poza tym, przypomnę ci, mam dziecko, które jest ciężko chore, musiałam pracować, żeby nas utrzymać. Powiedz, na co miałam czekać?

Pisarz: Oboje wiemy, że nie mogłem mieszkać w Niemczech, nie potrafię. Niemcy i wszystko co niemieckie, były, są i pozostaną dla mnie symbolem wszystkiego co nieludzkie, nieuczciwe, brudne, straszne. Niestety, gdy się w tobie zakochałem, nie myślałem o tym wszystkim. W imię miłości. Dzisiaj wiem, że to był błąd.

Ona: Mogliśmy zamieszkać gdzie indziej.

Pisarz: Mogliśmy. Ale tam też obowiązywałby język niemiecki, prawda?

Ona: O co ci chodzi?

Pisarz: O nic. Co u Pierre'a?

Ona: Cierpi. Nie wiem za co i czyje grzechy tak się męczy to dziecko. Bo na pewno nie za swoje.

Pisarz: To bardzo mądry chłopiec. Ucałuj go ode mnie. I powiedz mu, że już nie mogę się doczekać spotkania z nim.

Ona: Powiem. Na pewno się ucieszy.

Po chwili.

Pisarz: Pamiętasz?

Ona: Co masz na myśli?

Pisarz: Nasz ślub.

Ona: Naturalnie. 20 lutego 1961 roku. W Londynie. Chciałeś mi zrobić niespodziankę i wybrałeś dzień wolny od zajęć na planie filmowym.

Pisarz: Minęło osiem lat. Szybko.

Pauza.

Sonja, powiedz mi – dlaczego wyszłaś za mnie?

Ona: Zakochałam się.

Pisarz: I to tłumaczy?

Ona: Uważasz że nie, że to słaby argument czy powód? Jednak tutaj inna rzecz była ważna, którą zrozumiałam dopiero później: że tobie nie była potrzebna żona, a koledzy, ci wszyscy wątpliwej jakości przyjaciele. Tacy jedynie do wypitki. I najgorsze, że zawsze takich znajdowałeś. A to w Monachium, gdzie miałeś pisać scenariusz filmowy i gdzie chlałeś ze znajomymi z radia Wolna Europa. A to w Londynie. A to w Izraelu. Wszędzie byli koledzy i wasza pocieszycielka – wódka.

Pisarz: Byłem alkoholikiem. Ostrzegałem cię.

Ona: Nie szukaj usprawiedliwienia! Poza tym mylisz się: byłeś pijakiem, nie alkoholikiem. A po drugie – nie byłeś zwykłym pijakiem, byłeś pijakiem niezwykłym.

Pisarz: (ze śmiechem) Zdaje się, że powinnaś pisać. „Pijak niezwykły” – podoba mi się. A z czego wyszła ci tak piękna poetycka konstrukcja?

Ona: Ponieważ znam siebie, a ja ze zwykłym pijakiem nigdy bym się nie związała (obopólny śmiech).

Po chwili.

Poza tym było w tobie coś, co mnie ujmowało. I to właściwie od samego początku. Nie chodzi o sposób adoracji, te

wszystkie misie, które mi kupowałeś zamiast kwiatów. Ty mi się podobałeś. Wysoki, o zielnych oczach i zaczesanych do góry ciemnoblond włosach, z głosem tak ciepłym i dźwięcznym, że nie sposób było machnąć na to ręką, a ciebie odprawić do stu tysięcy diabłów. Już w hotelu Monopol we Wrocławiu, kiedy tańczyliśmy tango, a ty płaciłeś orkiestrze, aby grali i grali, i żeby ten taniec nigdy się nie skończył, już wtedy coś mnie w tobie urzekło. Więc jeżeli pytasz, dlaczego się w tobie zakochałam, to odpowiadam: właśnie dlatego.

Pisarz: Byłem strasznie zdenerwowany.

Ona: Widziałam twoje ręce: nie mogłeś opanować ich drżenia. Ale, jak zwykle, zdażyłeś mi to na swój specyficzny sposób wytłumaczyć.

Pisarz: Pamiętasz.

Ona: Takich rzeczy tak łatwo się nie zapomina, kochanie. W końcu zdrowo ze mnie zażartowałeś. A ja głupia uwierzyłam w tę twoją bajeczkę o siedzeniu w celi śmierci i że w ostatniej chwili, tuż przed powieszeniem, nadeszło ulaskawienie. Wstrętny bajkopisarz!

Pisarz: Powiedziałbym wówczas wiele więcej głupstw, żeby cię tylko zatrzymać przy sobie. Po prostu zakochałem się. Tyle.

Ona: I dlatego nie zakomunikowałeś mi tego sam, tylko przysłałeś jakąś kobietę, która przyszła do mnie do hotelu i powiedziała mi o tym.

Pisarz: Pamiętaj – miałem utrudniony do ciebie dostęp.

Ona: Tak, wiem. Starano się mnie chronić przed tobą. Miałaś nieciekawą opinię.

Pisarz: Na szczęście cierpliwi zostają jednak nagrodzeni. Ja zostałem.

Pauza.



Nawet nie wiesz, jak bardzo mnie uszczęśliwiłaś, zgadzając się na wyjazd do Kazimierza Dolnego. Nawet Skibowscy mi nie przeszkadzali.

Ona: Tam zdobyłeś się na odwagę i...

Pisarz: Pocałowałem cię. Po raz pierwszy.

Ona: I stało się.

Pisarz: Hm?

Ona: Zakochałam się.

Pisarz: Chyba jednak rzeczywiście zacznę pisać bajki.

Ona: Naprawdę się zakochałam – przecież wiesz. I nie chodzi o to, że ty byłeś księciem z bajki i ten pocałunek zdjął ze mnie czar złej czarownicy. Po prostu uzmysłowiłam sobie wtedy, że jestem tobą najzwyczajniej w świecie zauroczona.

Pisarz: A ja w żartach nazwałem cię „pierwszą naiwną”. Gdy ci wytłumaczono, co to znaczy, prawie się obraziłaś. W końcu powiedziałem ci, dlaczego tak się wyraziłem. To nie znaczyło nic złego, wręcz przeciwnie: urzekła mnie twoja szlachetna naiwność. Już wtedy, gdy jechaliśmy twoim BMW do Kazimierza, na drodze widzieliśmy pełno pijanych chłopów. Pamiętasz: przed samym Kazimierzem dwóch pijanych goniło trzeciego. Dopadli go na masce twojego samochodu.

Ona: Tak. Powiedziałeś wtedy, że za trzy dni pobiją się znowu. Tylko, że teraz na jego pogrzebie.

Pisarz: Zgadza się. Zapytałaś zaskoczona: „Na czym pogrzebie?”. Odparłem, że na pogrzebie tego faceta, który właśnie zginął na masce twojego samochodu. Nie uwierzyłaś. Uśmiechnęłaś się jedynie, jakbym powiedział słaby żart. Widziałaś na własne oczy, a mimo to nie uwierzyłaś. Ta twoja naiwność, biorąca się z czystości twojej duszy, urzekła mnie. Nie mogłem się nie zakochać.

Pauza.

Dzisiaj rozumiem, że gdybym był na twoim miejscu również bym nie uwierzył. Tylko zapewne z innej przyczyny. W końcu nie ma potrzeby, aby zawsze od ludzi wymagać wiary w ohydę, zbrodnię i występki.

Ona: Wiesz, kiedy uzmysłowiłam sobie, że cię kocham i chcę z tobą być? To było zaraz po moim rozwodzie z Rudim, kiedy chcąc być z tobą uczciwa i szczerza, powiedziałam ci o moim raku i że w wyniku tej choroby nie będę mogła mieć dzieci. I gdy to powiedziałam i spojrzałam w twoje zielone oczy, zobaczyłam, jak nagle straciły blask.

Pisarz: Wtedy odwróciłaś się i wyszłaś, a ja poszedłem za tobą.

Ona: Musiałam coś zrobić. Szłam do kuchni, żeby zająć czymś ręce – zrobić kawę, herbatę, obojętnie co.

Pisarz: W przedpokoju zatrzymałem cię i powiedziałem: „Chodzę twoim śladem już bardzo długo. Oczywiście że dziecko mogłoby być owocem naszej miłości, ale musisz wierzyć w nas samych, w siłę, którą Bóg daje naszej miłości. To jest łaska”.

Ona: Wtedy wzięłeś mnie w ramiona, a oczy twoje ponownie odzyskały blask, i powiedziałeś: „I mamy Pierre’a”. Jeżeli czegoś się obawiałam do tej pory, jeżeli było coś niepewnego w naszej miłości, to od tej chwili byłam pewna, że chcę być z tobą na dobre i na złe. I wiesz, że ogromnie się cieszę, że wszystko zaczęło się układać. Zawsze wiedziałam, że było warto.

Pisarz: Warto?

Ona: Wierzyć w ciebie. Od dawna już nie pijesz, a kiedyś ciężko było zobaczyć cię trzeźwego.

Pisarz: To również dzięki tobie. I twojej miłości.

Ona: Tym bardziej jestem szczęśliwa. Ty wiesz, że kiedy nie pijesz, jesteś cudowny i niezwykły. Gdy tylko pojawia się alkohol, jakby wstępuje w ciebie ktoś inny, a ty pakujesz się w niepotrzebne kłopoty. Jak choćby te z policją niemiecką. Aż się doigrałeś i wylądowałeś w końcu w monachijskim więzieniu. Pamiętasz za co?

Pisarz: Oczywiście. Za jazdę po pijaku.

Ona: Właśnie: za jazdę w stanie nietrzeźwości.

Pisarz: Więzienie nie jest najgorszą rzeczą, jaka może nas spotkać.

Ona: Tyle to i ja wiem. Tylko że to niczego nie usprawiedliwia ani nie tłumaczy. Wręcz przeciwnie – doświadczenie więzienne nikomu do niczego nie jest potrzebne. A najmniej już do szczęścia.

Pisarz: Z twojego punktu widzenia.

Ona: Z każdego normalnego punktu widzenia, nie tylko mojego.

Pisarz: Mylisz się. Mnie ono było potrzebne: zbierałem materiał.

Ona: Słucham?

Pisarz: Do kolejnej książki. Może to dziwnie zabrzmieć, co powiem, ale w więzieniu jest tak, że ludzie się otwierają. Można wiele usłyszeć, wiele się nauczyć.

Ona: Pozazdrościć szkoły życia! Mam ci zazdrościć?

Pisarz: Nie kpij, nie o to chodzi. Chciałem powiedzieć, że jeżeli jest to szkoła, to czasami jako element niezbędny.

Ona: Na pewno specyficzny, ale czy niezbędny nie byłabym już tego taka pewna.

Milczenie.

A mogło być tak pięknie.

Pisarz: Było pięknie.

Ona: Chwilami, Marku. Tylko chwilami. Kiedy starałeś się zapanować nad swoim nałogiem. Pamiętasz nasz pobyt w Malcesine?

Pisarz: Trudno zapomnieć.

Ona: A potem w St. Moritz? To były właśnie te piękne chwile, a my wtedy mogliśmy, ty mogłeś wiele zrobić, żeby nam się udało.

Pisarz: A teraz?

Ona: Co „teraz”?

Pisarz: Nadal może nam się udać?

Ona: Wiele zależy od ciebie, kochanie.

Pisarz: Wiem. I tego się boję.

Ona: Czego?

Pisarz: Że kiedy zostanę w Niemczech, to skończę się jako pisarz.

Ona: Nie rozumiem. O czym ty mówisz?

Pisarz: Jakiś czas temu pewien niemiecki pisarz powiedział mi, żebym stąd uciekał, bo nigdy nic o Niemcach i Niemczech nie napiszę. Podobnie zresztą jak i on. Bo Niemcy nie są tematem dla pisarza, są tematem dla ślusarza.

Ona: Przecież to szaleństwo tak myśleć! Nasza literatura mówi wręcz coś przeciwnego.

Pisarz: Myślisz.

Ona: Oczywiście! Jak możesz mieć jakiegokolwiek wątpliwości?

On podchodzi do otwartego okna, za którym pada deszcz.

Co to za dźwięk?

Pisarz: Deszcz. Właśnie zaczął padać.

Ona: Deszcz. Tak jak wtedy.

Pisarz: To znaczy?

Ona: Szliśmy przez deszcz, a potem, gdy znaleźliśmy w końcu to miejsce, na końcu miasta, zrobiliśmy to. A potem położyliśmy się pod drzewem i wiatr zrzucił na nas krople, a przytulwszy się do siebie czuliśmy własne zimno. A potem powiedziałeś mi, że jestem silniejsza od deszczu.

Pisarz: A ty, że nie cierpisz łóżka. Że możesz to robić w deszczu, w śniegu, w kościele, lecz nie w łóżku, bo go nie cierpisz.

Ona: To prawda. Łóżko zawsze kojarzyć mi się będzie z cierpieniem. Cierpieniem mojego synka.

Pauza.

Niestety, nic nie trwa wiecznie, więc i nasza bajka również się skończyła. Potem był ten nieszczęsny Wiedeń.

Pisarz: Musisz do tego wracać? Byłem nalany. To wszystko.

Ona: I dlatego zachowywałeś się jak wariat? Chciałeś mnie zabić!

Pisarz: Nie przesadzaj. Żartowałem.

Ona: I oczywiście w żartach zerwałeś telefon ze ściany i rzuciłeś go we mnie, tak? Przyznasz, że to specyficzny rodzaj humoru. Ja w każdym razie takiego dotąd nie znałam. I jeszcze ten krzyk: „I kill you! I kill you! I kill you!“. Wtedy po raz pierwszy zważyłam i pomyślałam, że jednak nie uda się nam.

Pisarz: Cztery razy mnie porzuciłaś.

Ona: Nigdy cię nie porzuciłam. Jak zwykle dopowiadasz sobie wygodne rozwiązania.

Pisarz: Chcesz powiedzieć, że zmyślam?

Ona: Chcę powiedzieć, że nadajesz niewłaściwy sens pewnym wydarzeniom i zachowaniom.

Pisarz: W takim razie pozwolisz, że ci przypomnę. Pierwszy raz porzuciłaś mnie jeszcze w Polsce, drugi raz w Cannes, trzeci – po twoim powrocie z Sylt. Czwarty – z powodu Heidemanna. Człowieka, z powodu którego zrezygnowałem w pięćdziesiątym dziewiątym z wyjazdu do Stanów Zjednoczonych.

Ona: Głupstwa pleciesz i doskonale o tym wiesz. Heidemann prowadził moje interesy i nie mogłam – ot tak, z dnia na dzień, zrezygnować z jego usług, bo mógłby mnie puścić w

skarpetkach. Przypomnij sobie lepiej, kiedy przyjechałam do ciebie do Izraela. Gdy tylko skończyłam pracę na planie filmowym, natychmiast wsiadłam w samolot i przyleciałam do Tel Awiwu. Czy to dla ciebie nic nie znaczy?

Pisarz: Cztery razy! Wiesz, masz pojęcie, jak to bolało? Nadal zresztą boli. I to cholernie. Nawet dzisiaj.

Ona: Dlaczego jesteś taki głupi?

Pisarz: To proste: nie jestem swoim własnym patentem. Jestem najzwyczajszym z ludzi i nie umiem popełniać rzeczy szalonych. Nie umiem przejść przez życie jak burza, mnożąc nienawiść możliwych i rozpacz biedaków. Nie umiem nic z tych rzeczy, które zachowują człowieka w pamięci innych. Za to lubię szybko jeździć, czytać książki i trochę alkoholu od czasu do czasu. To wszystko.

Ona: Szkoda tylko, że tak mało znasz kobiety.

Pisarz: Ciebie znam.

Ona: Myślisz?

Pisarz: Jestem tego pewien. Ty jesteś... jesteś jak rzeka.

Ona: To znaczy?

Pisarz: Jesteś jak rzeka, która oczyszcza. Ze wszystkich kobiet, które znam, ty jedna jesteś właśnie jak rzeka. I dlatego pewnego dnia odejdziesz ode mnie i już nie wrócisz, jak i rzeki nie wracają.

Ona: Mylisz się – wracają i rzeki.

Pisarz: W Biblii jedynie. Zapomnisz. Tak jak zapomina się ulicę, którą chodziło się do szkoły i ulicę, przy której był kościół. Zapomina się miasta, które zostały spalone, i miliony ludzi, którzy zginęli w przekonaniu, iż są niewinni. I zapomina się nawet ich głupie i święte przekonanie o własnej niewinności. A potem zapomina się pierwszego mężczyznę i ból, który ci

sprawił, i śmierć rodziców, i grób rodziców. To wszystko zapomnisz. A wtedy ktoś inny będzie poprawiał twoje włosy. Bo wszystko jest dobre pewnego dnia, jeśli się już dokładnie nie pamięta. To jest właśnie ta mądrość starców, o której się uczyłem w szkole.

Ona: Dlaczego tak mówisz?

Pisarz: Bo to prawda. Nie wierzę w to, że uda ci się mnie zapamiętać.

Ona: To nieprawda. Istnieją rzeczy, których się nie zapomina.

Pisarz: Na przykład?

Ona: Twoja twarz, twoje słowa. Chcę pamiętać. Bo musi być coś, czego się nie zapomina. I to zostanie.

Pisarz: Mylisz się. Z początku będziesz płakać. Potem przez jakiś czas będziesz mieć miłosne afery. Potem spotkasz takiego samego idiotę jak ja i zmusisz go, aby ożenił się z tobą, aby po jakimś czasie zacząć dręczyć go opowieściami o tym, jak wspaniałym człowiekiem byłem ja, i będziesz wypominać mu jego marność. Koniec.

Ona: To nie będzie tak.

Pisarz: Masz rację. Będzie zupełnie inaczej. Po prostu nic się nie stanie. Po prostu mnie zapomnisz i to wszystko.

Ona: A ty?

Pisarz: Co – ja?

Ona: Co będzie z tobą? Z kim będziesz?

Pisarz: Z nikim. Z sobą. I będę się modlił o to, aby wytrzymać do kolejnej niedzieli.

Ona: I co wtedy? Co dalej?

Pisarz: Nic. Będę żyć dalej. To jest właśnie najgorsze.

Ona: To niej jest jeszcze najgorsze, Marku, kiedy ma się dopiero trzydzieści pięć lat.

Pisarz: I cóż z tego? W czym ma mi ta świadomość pomóc? Nie będziesz chyba tak nierozsądna, aby mi powiedzieć, że mam przed sobą życie i wszystko jeszcze przyjdzie, i tak dalej. Nie ma ani jednego człowieka na świecie, który by w to naprawdę wierzył.

Po krótkiej chwili.

Ona: A inne kobiety?

Pisarz: Co – „inne kobiety”?

Ona: Czy kobiety, których się dokładnie nie pamięta, również są dobre?

Pisarz: Nie wiem tego. Powiedziałem ci już: zbyt mało ich miałem i nigdy o nich nie myślę. Poza tym nie chcę mówić o innych kobietach.

Ona: Nawet o Esther?

Pisarz: Mogłabyś znowu nie zaczynać? Nie wiem, co będzie z Esther, ze mną, z jutrzejszym dniem – niczego nie jestem pewien. Może w dalszej perspektywie napiszę scenariusz zatytułowany *Życie bez Esther*, który wyreżyseruje Hans. Nic nie wiem, wiem tylko tyle, że najpierw te projekty, które są już zaczęte. To wszystko.

Po chwili.

Ona: O czym my w ogóle rozmawiamy, Marku? Co to za wspominki-wypominki: porzuciła, wyjechała, zapomnia? Ważne jest to, co teraz.

Dłuższe milczenie.

Marku? Jesteś tam?

Pisarz: Przepraszam. Masz rację: bez sensu to grzebanie w przeszłości. Liczy się tylko tu i teraz.

Ona: Właśnie! A jeżeli już musisz wracać do przeszłości, to pamiętaj dobre chwile. Na przykład Tel Awiw i nasze



zaręczyny. I teraz, kiedy miesiąc temu byliśmy tam ponownie. To pamiętaj!

Pisarz: Dobrze.

Po chwili.

Ona: Kochanie, chciałabym cię o coś zapytać.

Pisarz: Słucham.

Ona: Pamiętasz: zanim powstała jakaś książka, opowiadałeś mi jej akcję, a podczas pisania ćwiczyłeś ze mną fragmenty dialogów.

Pisarz: Oczywiście.

Ona: Już dawno chciałam cię o to zapytać: Dlaczego to robiłeś? Nie jestem przecież intelektualistką, z której zdaniem powinieneś się liczyć.

Dłuższe milczenie.

Marek? Jesteś tam?

Pisarz: Tak, jestem.

Ona: Więc?

Pisarz: Chodzi o gust.

Ona: Nie rozumiem.

Pisarz: (ze śmiechem) Zakochałaś się we mnie, a to świadczyło o twoim dobrym guście, więc...

Ona: Ja poważnie pytam, a ty sobie żartujesz...

Pisarz: Sonju, kochanie, nigdy nie byłem poważniejszy.

Ona: I dlatego nie możesz opanować śmiechu?

Pisarz: Po prostu wychodziłem z założenia, że jeżeli mnie wybrałaś, to nie możesz się również mylić w odbiorze tego, co piszę. To wszystko.

Ona: Rzeczywiście, to niezwykle proste (obopólny śmiech).

Pisarz: A nie mówiłem?

Po chwili.

Sonju, nie obawiasz się, że jednak to wszystko się skończy któregoś pięknego dnia?

Ona: Dlaczego miałabym tak myśleć? Nie pijesz, bierzesz leki, na powrót piszesz, podpisałeś nowy kontrakt – musi się udać!

Pisarz: Zawsze ten film kiepsko się kończy.

Ona: Jaki film? O czym ty mówisz?

Pisarz: Mówię o nas. Zawsze jest tak, gdy kobieta zaczyna się opiekować pijakiem, którego kocha. Taka miłość jest złą miłością.

Ona: Dlaczego tak myślisz? Nie ufasz sobie? Stało się coś, o czym nie wiem?

Pisarz: Nic się nie stało. Jeszcze nic. Ale to zabawa bez mety. Teraz jest antabus, witaminki, pogadanki z lekarzami, a potem... potem i tak kończy się jak zawsze: w domach bez klamek.

Ona: Przestań tak mówić. I w ogóle myśleć! Nie wolno ci. Będzie dobrze, wierzę w to. A jeżeli choć trochę mnie kochasz, to nie zrobisz głupstwa. Powiedz, że mnie kochasz.

Pisarz: Teraz?

Ona: Jeszcze się wahasz? (ze śmiechem) Ty oszuście – matrymonialny!

Pisarz: Mogę powiedzieć, dlaczego nie. Powiedziałem w swoim życiu wiele kłamstw. Jedno mniej, jedno więcej – żadna różnica. W końcu ze mną jest tak, że jak się nie pomylę, prawdy nie powiem.

Ona: (ze śmiechem) Teraz to chyba ja cię zabiję. Tylko wpadnij w moje ręce!

Pisarz: (ze śmiechem) Niedługo to się stanie. A potem zabiorę cię do Izraela i naszych magicznych miejsc.

Ona: Byłoby wspaniale, kochanie! Tam zawsze jest cudownie. Ten ostatni pobyt w ubiegłym miesiącu był fantastyczny.

Pisarz: Więc pojedziemy tam. Podpisałem kontrakt z niemiecką telewizją, wzięłem zaliczkę na realizację wspólnego projektu, w zasadzie wiążą nas tylko twoje ewentualne zobowiązania.

Ona: Zrobię wszystko, żeby mieć w tym czasie chociaż dwa wolne tygodnie.

Pisarz: Obiecujesz?

Ona: Czy kiedyś cię zawiodłam?

Pisarz: Wybacz miejskiemu głupkowi.

Słychać otwarcie drzwi.

Ona: Przepraszam cię na moment.

Pauza.

Niestety, musimy kończyć, kochanie, samochód już na mnie czeka.

Pisarz: Zatem do zobaczenia. I uważaj na siebie.

Ona: Ty też, Marku. Do zobaczenia. Wkrótce.

Po chwili rozlega się ponowne wybieranie numeru telefonu.

Pisarz: (do siebie) Esther, najdroższa, odbierz. Proszę.

Po kilku głuchych dźwiękach dochodzących z telefonicznej słuchawki, pojawia się utwór muzyczny W. Wysockiego zatytułowany *Liubliu tiebia siejczias (Kocham cię teraz)*.

## Część II

W pomieszczeniu rozbrzmiewa muzyka Edwarda Griega do dramatu *Peer Gynt* H. Ibsena. Rozlega się pukanie do drzwi, po czym następuje ich otwarcie.

Hans: Marku, jakiś pan do ciebie. Mówi, że był umówiony.

Pisarz: Rzeczywiście. Zapomniałem na śmierć.

Dziennikarz: Tak jak żeśmy się umówili, panie Marku. Jestem punktualny: siedemnasta.

Pisarz: Dobrze. Niech pan wejdzie. Dziękuję ci, Hans.

Hans: Gdybyś czegoś potrzebował, jestem obok.

Pisarz: Dziękuję.

Następuje zamknięcie drzwi.

Nie będzie panu przeszkadzało?

Dziennikarz: Nie rozumiem...

Pisarz: Muzyka. Nie będzie panu przeszkadzać?

Dziennikarz: Oczywiście że nie. Czasami i ja lubię posłuchać klasyki.

Pisarz: To świetnie. Napije się pan?

Dziennikarz: Dziękuję. W pracy nie piję.

Pisarz: Nikt pana tutaj nie nakryje, a ja nie doniosę. Czego pan się boi?

Dziennikarz: To nie kwestia strachu, panie Marku. Chodzi o trzeźwą głowę. W końcu będę panu zadawał pytania. Nie chciałbym, aby były kretyńskie i nieprzemyślane.

Pisarz: Czyli nie łać?

Dziennikarz: Dziękuję.

Pisarz: Podziękuję pan, jak wypije.

Dziennikarz: Wolę jednak podziękować przed wypiciem.

Pisarz: Jak pan chce. Ja skuszę się na piwo. Pozwoli pan?

Dziennikarz: Jest pan u siebie...

Pisarz: No, tak daleko bym się nie posuwał. U siebie, to ja już dawno nie byłem. Od kiedy wyjechałem z kraju i stałem się pisarzem tak zwanym emigracyjnym.

Chwila ciszy.

Dziennikarz: Dziękuję.

Pisarz: Hm?

Dziennikarz: Że pan się zgodził. Na ten wywiad, naturalnie.

Pisarz: To z miłości.

Dziennikarz: Słucham...?

Pisarz: Niech się pan nie boi. Z miłości do naszego państwa.

Dziennikarz: Ach tak...

Pauza.

Słyszał pan, że szykują się pewne zmiany...

Pisarz: Kolejne. I nie zmiany, a zamiany. Czerwcowe wybory niczego nie zmieniły i nie zmienią.

Dziennikarz: Może będzie pan mógł wrócić.

Pisarz: To prawda – miałem tam dobre chwile. Ale nie chciałbym wracać tylko po to, aby się przekonać, że żadna z nich nie wróci.

Dziennikarz: To znaczy, że pan nie chce wrócić?

Pisarz: Między „chcę”, a „mogę” jest drobna, ale zasadnicza różnica. Wiem, że już nigdy nie wrócę, chociaż robiłem wiele, żeby wrócić. Moja matka pukała w Warszawie do niejednych drzwi. I co? Nic. Dupa. Chcieli mnie upokorzyć, postanowili widzieć mnie na kolanach, dopiero wówczas wspaniałomyślnie wyraziliby zgodę na mój powrót do kraju. Tyle że ja nie lubię pozycji klęcznej – za bardzo ciągnie od spodu, można się nabawić reumatyzmu. Poza tym tym listem do Trybuny Ludu definitywnie zamknąłem sobie drzwi do powrotu. Wsiadłem w samolot lecący tylko w jedną stronę.

Przynajmniej za życia. Po śmierci może być różnie. Ale wtedy, jak wiadomo, nie będę w stanie osobiście dopilnować swoich spraw.

Dziennikarz: Nigdy nie wiadomo, co przyniesie życie. Dzisiaj jest pan tutaj, a jutro może pan się nagle znaleźć w Warszawie. Kto to może wiedzieć?

Pisarz: Zazdroszczę panu.

Dziennikarz: Słucham?

Pisarz: Zazdroszczę panu umiejętności stwarzania sobie złudzeń. To wielka sztuka, zwłaszcza dla człowieka współczesnego. Bo człowiek współczesny jest zgubiony. Człowiek współczesny nie wytrzymuje nerwowo swego życia.

Dziennikarz: Do czego pan zmierza?

Pisarz: Do niczego. Po prostu mówię, co widzę. Ale pan zawsze może się ze mną nie zgodzić. Zgadza się?

Dziennikarz: To prawda.

Pisarz: Świetnie! Zatem wypiję łyk za pana optymizm.

Po chwili.

Zapala papierosa.

Przepraszam, pali pan?

Dziennikarz: Tak.

Pauza.

Pisarz: Mam tylko „kenty”. Mogą być?

Dziennikarz: Naturalnie. Dziękuję.

Po krótkiej chwili.

Pisarz: Więc, zaczynajmy.

Dziennikarz: Pozwoli pan, że się cofnę do samego początku. Zanim wyjechał pan z Polski w 1958 roku, pracował pan w lesie. Czas ten został później opisany przez pana w *Następnym do rajju*.

Pisarz: Wie pan, co napisał o niej Krzysztof Toeplitz? Że jest to opowieść, jak to sobie wyobraża Mareczek. Ale mylił się. Nie było tak, jak napisałem, było o wiele gorzej.

Dziennikarz: Niebezpiecznie.

Pisarz: Kiedyś nie wrócił do bazy kierowca. Dwa dni szukaliśmy go jak wariaci. A kiedy wreszcie znaleźliśmy, nie wiadomo było, jak go wrzucić do trumny, bo prawie całego zżarły wilki. Na sąd ostateczny będzie się meldował bez kutasa (śmiech).

Dziennikarz: Może lepiej byłoby w mieście?

Pisarz: Co znaczy „lepiej”?

Dziennikarz: Choćby bezpieczniej. Po co się pchać w niebezpieczne miejsca, na siłę szukać...

Pisarz: Śmierci? Nie wiem. Może miałem zapotrzebowanie na większą dawkę emocji? W mieście jednak jest cholernie nudno. Dziwki się nudzą, konie się nudzą, żołnierze się nudzą. Zdechnąć można i człowiek nie wie nawet dlaczego. Do cholery z takim życiem! Więc pojechałem do lasu.

Dziennikarz: Żeby być prawdziwym.

Pisarz: Słucham?

Dziennikarz: Myślę, że pojechał pan tam po prawdę. To znaczy chciał pan dać świadectwo prawdy: pisać tak, jak się żyje. Mam rację?

Pisarz: Jest pan niebezpieczny.

Dziennikarz: Ja?

Pisarz: Podwójnie niebezpieczny: jeszcze udaje, że nie zdaje sobie z tego sprawy.

Dziennikarz: Naprawdę nie rozumiem...

Pisarz: Zaczynam pana lubić – i to jest niebezpieczne. Zaskakuje mnie pan. Pozytywnie naturalnie.

Po chwili.

Dziennikarz: Potem, to znaczy po rezygnacji z pracy w lesie, wrócił pan do Warszawy?

Pisarz: I zacząłem pracować w firmie „Metrobudowa”. Tylko niech pana nie zmyli nazwa – nie budowaliśmy żadnego metra. Pracowałem tam jako ładowacz. Po jakimś czasie wyładowałem w dziale zaopatrzenia, aż w końcu zostałem korespondentem robotniczym. Na potrzeby *Trybuny Ludu*.

Dziennikarz: Co było potem?

Pisarz: Z „Metrobudowy” mnie wyrzucili, a Trybuna Ludu wsadziła mnie do Warszawskiej Spółdzielni Spożywców. O tym również napisałem opowiadanie: *Baza Sokołowska*. Miałem wtedy osiemnaście lat i robiłem różne niezbyt chlubne rzeczy. Ale nie wstydzę się tego. Niech się wstydzą ci, którzy mnie do tego zmusili.

Dziennikarz: Zmuszano pana do czegoś?

Pisarz: Nikt nie przystawił mi pistoletu do głowy – jeżeli o to chodzi. Ale też nic nie mogłem zrobić biorąc pod uwagę okoliczności. Pracowałem po czternaście godzin dziennie, włącznie z niedzielami i świętami, zarabiałem około siedmiuset złotych miesięcznie. Nie miałem mieszkania, mieszkałem na korytarzu. Pierwsze ubranie sprawiłem sobie mając dwadzieścia dwa lata. Czy w takich warunkach można godnie żyć i nie kombinować? Uważam, że można jedynie żyć ubogo i trwać na przekór podłemu losowi. To wszystko, co w takich warunkach może uczynić przyzwoity człowiek. Ale wie pan, jaka jest tego największa ironia?

Dziennikarz: Nie mam pojęcia.

Pisarz: Dzisiaj niepotrzebne mi nawet i ubranie. I tak nie mam dokąd iść. Bo człowiek, który odszedł od swoich, nie ma dokąd pójść, wszędzie, gdzie pójdzie, zostanie pusty plac. (Pije.)



Po chwili.

To, co dla mnie było ważne w tamtym czasie, to fakt, że dzięki Newerlemu dostałem stypendium i wyjechałem do Wrocławia. Tam mi jednak nie szło literacko i wróciłem do stolicy.

Dziennikarz: A w 1958 rok otrzymał pan Nagrodę Wydawców. Za wydany dwa lata wcześniej zbiór opowiadań zatytułowanych *Pierwszy krok w chmurach*.

Pisarz: Oraz za dwie niewydane wówczas książki. I, zapewne, jako duży dowód zaufania na przyszłość. Bardzo duży. Bo dla wielu kolegów po piórze byłem już skończony. Nie wiem po co pisali tam starsi ode mnie.

Dziennikarz: Ludzie zawsze byli zawistni. W każdym środowisku. Przecież pan to wie.

Pisarz: Dlatego nigdy mnie to nie obchodziło. Poza tym, jak zawsze, relacje były różne z różnymi osobami. Ze wspomnianym Newerlym czy Bohdanem Czeszko były dobre, z Władysławem Broniewskim, mimo pewnych różnic, również były takie...

Pauza.

Powiem panu coś, o czym nie wszyscy wiedzą. Jak wiadomo alkohol zbliża ludzi – przynajmniej w początkowej fazie picia. Potem... potem, wiadomo, co potrafi z nas zrobić. Ale zanim wylądujemy w rynsztoku jest pięknie i kolorowo. Z Władysławem Broniewskim tak właśnie było: frunęło się do gwiazd. I to nasze wspólne picie dało mi temat na opowiadanie.

Dziennikarz: Niech zgadnę: *Pętla*.

Pisarz: Musi się pan zgodzić, że to nie było jednak trudne. Władysław Broniewski był pięknym człowiekiem.

Wewnętrznie pięknym mimo ogromnych sprzeczności, jakie nim targają. Nigdy nie zapomnę, jak doszedł do mnie kiedyś – to było już po odwilży pięćdziesiątego szóstego – i poprosił mnie, gówniarza, o przebaczenie. Nie że przeprasza, ale prosi o przebaczenie. On – wielki Broniewski! Cóż mogliśmy zrobić? Poszliśmy na wódkę. Nie potrafię o nim myśleć inaczej jak dobrze. Nie potrafię przestać czytać jego wierszy i nie potrafię przestać ich kochać. Albowiem jestem takim samym Polakiem jak i on.

Pauza.

Cholera!, coraz gorsze te papierosy (gasi go, po czym zapala następnego).

Dziennikarz: Nie oszczędza się pan.

Pisarz: Słucham?

Dziennikarz: Papierosy. Przed chwilą zgasił pan jednego i zaraz zapalił następnego. Nie za dużo pan pali?

Pisarz: Dbam o normę wyrobu smoły w płucach. Zobowiązałem się do tego niepisany układem.

Dziennikarz: Obawiam się, że nie bardzo rozumiem...

Pisarz: Liczę, co prawda, że po śmierci trafię do nieba, ale pewności nie mam. Dlatego, gdybym miał jednak trafić do piekła, wiem, że ten surowiec akurat tam może się przydać. A głupio tak z pustymi rękami przychodzić w gościnę. Więc chociaż trochę smoły ze sobą przywlokę.

Dziennikarz: Nie zawiódł mnie pan.

Pisarz: O co chodzi? Z czym pana nie zawiodłem?

Dziennikarz: Z poczuciem humoru.

Pisarz: Myśli pan. To chyba dobrze, co?

Dziennikarz: O ile nie jest przygnębiający, to dla mnie wszystko jest w jak najlepszym porządku. Pana poczucie humoru jest nierzadko gorzkie, ale...

Pisarz: Ale?

Dziennikarz: Ale czas wrócić do tematu naszego spotkania. Po otrzymaniu nagrody pojawiła się szansa wyjazdu z kraju.

Pisarz: Tak. Wyjechałem do Francji. Miałem 24 lata i osiem dolarów w kieszeni – to był cały mój majątek.

Dziennikarz: Był luty 1958 roku. Co dalej się działo, po wylądowaniu na lotnisku Orly?

Pisarz: Normalnie. Oczerniono mnie w Polsce, a w Paryżu zjawili się u mnie rozmaici dziennikarze. Najgłupszy był z L'Express.

Dziennikarz: Dlaczego?

Pisarz: Wie pan, te ich pytania... Pytali mnie na przykład, jaką rolę wyznaczyłem sobie w literaturze. Odpowiadałem, że rolę świadka.

Dziennikarz: Świadka?

Pisarz: Tak. Na to oni: O jaki proces chodzi? Odpowiadałem, że jestem świadkiem procesu przeciwko człowiekowi. Na co znów oni – twardzi byli: Czy mam zamiar wrócić do Polski? Na to ja: Oczywiście. Nie jestem aż takim idiotą, aby dobrowolnie pozbawiać się przyjemności patrzenia na zbrodnie, rozpacz i te wszystkie rzeczy, o których jedynie umiem pisać. Krótko mówiąc – tak długo, jak oni popełniają świństwa, a ja mogę o tym pisać – wszystko jest dla mnie O.K. Jestem tylko świadkiem w procesie oskarżenia. Sprawa jest dla mnie obojętna, byleby proces był ciekawy. To wszystko.

Dziennikarz: Jednak nie wrócił pan.

Pisarz: Nie. Ale mimo że wyjechałem z kraju, to prawdą jest też, że nigdy go nie opuściłem naprawdę. Nigdy! (Pije.)

Dziennikarz: Wielu emigrantów tak mówi.

Pisarz: No. To znaczy, że wie pan, o czym również ja mówię.

Pauza.

Ale powiem panu coś jeszcze: Myślę, że im więcej chwil zwątpienia, które można pokonać, tym silniejsza jest wiara. Długa jest bowiem droga męki ludzkiej, najtrudniej znaleźć na niej wiarę.

Dziennikarz: Więc pan jedynie wątpi w powrót?

Pisarz: Wierzę – nie wierzę, wątpię – mam pewność, to wszystko jest bez znaczenia. Inni podejmują za mnie decyzje.

Dziennikarz: Wie pan, co myślę?

Pisarz: Słucham.

Dziennikarz: Że powinien pan zamieścić w gazecie ogłoszenie następującej treści: „Wszystkie ciosy przyjmuję z szyderczym uśmiechem”.

Pisarz: Panu się naprawdę zdaje, że jest pan lepszy ode mnie? Przecież pan również wie o wszystkim, co się dzieje dookoła, a mimo to śpi pan, je pan i na pewno chciałby pan mieć jakąś małą słodką kobietkę i być z nią szczęśliwy, prawda?

Dziennikarz: Nie.

Pisarz: Czyżby? Znów mnie pan zaskakuje.

Dziennikarz: Wszyscy marzą o szczęściu. To wystarczający powód dla mnie, aby trzymać się od tego z daleka.

Po krótkiej chwili.

Pisarz: Tak. Tutaj ma pan rację. Akurat tutaj ma pan pieprzoną rację!  
(Pije.)

Po chwili.

Dziennikarz: W Paryżu długo pan jednak nie zabawił.

Pisarz: Szybko się przekonałem, że Francja, to nie mój klimat. Więc kiedy pojawiło się zaproszenie, skorzystałem z niego i wyjechałem do Izraela. Goły i wesoly jak święty Turecki.

Dziennikarz: Ale to dopiero w pięćdziesiątym dziewiątym.

Pisarz: Zgadza się. Tylko że wówczas nie wierzyłem, że wytrzymam długo bez Polski.

Dziennikarz: Ale wytrzymał pan.

Pisarz: To nie tylko ode mnie zależało. Zresztą, wtedy jeszcze nie wiedziałem, że świat dzieli się na dwie połowy. Z tym jednak, że w jednej z nich jest nie do życia, w drugiej – nie do wytrzymania. Ale tę smutną prawdę człowiek rozumie dopiero wtedy, kiedy poprosiło się już o azyl polityczny i kiedy jedyny nasz majątek osobisty stanowi ceratowa teczka, w której naród amerykański umieścił swój dar dla uchodźców spoza żelaznej kurtyny: szczotkę do zębów, ręcznik i mydło. Można to sprzedać za pięćdziesiąt fenigów, ale trzeba mieć szczęście, aby znaleźć idiotę, który chciałby kupić.

Pauza.

Niestety, z planów literackich nic nie wyszło, więc czekała mnie ciężka, nielegalna praca. Nielegalna, bo jako turyście nie wolno mi było podjąć żadnego płatnego zajęcia. Pracowałem więc jakiś czas w hucie szkła, firmie mierniczej, a także na budowie jako zwykły robotnik.

Dziennikarz: Zapłacił pan duży rachunek za ten wyjazd.

Pisarz: Co pan ma na myśli?

Dziennikarz: Alkohol, niestabilność finansowa, zatrzymania przez policję, wywiady, po których stał się pan wrogiem władzy ludowej...

Pisarz: Byłem młody, a młodość to, wiadomo, nierzadko nieodpowiedzialność, prowokacja i ogólnie wygłupy. Poza tym prawda jest taka, że nie kłamałem. Więc jeżeli by mnie pan spytał, czy żałuję, odpowiem, że nie. Niczego nie żałuję. Gdyby istniało coś bardziej kretyńskiego, świńskiego i niepotrzebnego niż ludzkie życie – może to byłaby jakaś

pociecha. Niestety, dotychczas nic takiego nie odkryto. Ale ludzkość czeka na swój wielki dzień. Na razie wymyśliła sobie wieczność, tę z kupą trupiego gnoju.

Dziennikarz: Nie jest pan wierzący?

Pisarz: Powiedzmy, że bardzo mocno wątpię. A może już jednak wierzę? Nie wiem. Ponoć któryś ze świętych był w młodości alfonssem. Jeśli jednemu z naszych się powiodło, to dlaczego ja mam być gorszy? Czemuż ja nie mógłbym tą drogą zostać jednym z królów nieba?

Dziennikarz: Nadałby się pan?

Pisarz: Na co?

Dziennikarz: Na alfonsa oczywiście.

Pisarz: Nikt nie jest alfonssem dla przyjemności. Ale jak się raz człowiekowi noga powinie, to już będzie jechał na tyłku przez całe życie. Poza tym wiara, to w ogóle problem naszych czasów.

Dziennikarz: A jak pan to widzi?

Pisarz: Powiem tak: Boga usprawiedliwia tylko jedna rzecz – nieobecność.

Dziennikarz: Odważnie.

Pisarz: Raczej cholernie racjonalnie. Osąd na podstawie tego, co zobaczyłem, doświadczyłem, czy też przeczytałem albo usłyszałem. Poza tym nie wiem, czym jest naprawdę odwaga. Całe życie o tym myślę. W młodości wyobrażałem to sobie inaczej: uratowanie człowieka z pożaru, wyciągnięcie tonącego, wspaniały czyn wojenny, akt płciowy z własną babką i tak dalej. Teraz te sprawy trzeba przewartościować. To wszystko, co się powszechnie sądzi o odwadze, te wszystkie okoliczności zawsze stawiają człowieka w niecodziennej, nienormalnej sytuacji. W gruncie rzeczy takie

sprawy, jak zachowanie człowieka podczas walki, ataku czy pożaru – nie mówią o człowieku niczego. Tylko o sposobach reakcji w tych wypadkach. Nienormalna rzecz i nienormalna reakcja. Niczego nie da się przewidzieć i niczemu dziwić.

Pauza.

Myślę, że odwaga, to chyba tylko sprawa zaufania.

Dziennikarz: To znaczy?

Pisarz: Świat, to gromada zwierząt wałęsających się po gównie. Człowieka łatwo jest określić, wymierzyć w dół – bydlę w nieskończoność. Wszystko robi, wszystkiemu uwierzy, wszystko splugawi. Odwaga, ta najprawdziwsza, to sprawa znalezienia dla człowieka górnej granicy, tej ostatecznej – na ile można mu zaufać i czego potrafi dokonać.

Dziennikarz: Ostry osąd. Nie za ostry?

Pisarz: Wie pan, myślę często o Hitlerze. Czegóż on w końcu dokonał takiego? Pewnie, że był kłopotliwy, ale w końcu cóż? Wymordował nie więcej osób, niż to czyni w myślach każdy przyzwoity człowiek. Starał się o konsekwencje i był konsekwentny w granicach swojej głupoty. A w końcu usrał się jak każdy zbawiciel. Spokój. Kropka. Wielki Nauczyciel Stalin dokonał rzeczy o wiele większych. Zbudował cmentarz. Od tej chwili przyszłe pokolenia będą się rodzić i żyć na cmentarzach. Widocznie do życia, do słońca idzie się przez groby.

Pauza.

Co do mnie, to uważam, że już najwyższy czas, aby mrówki zaczęły rządzić światem. Chociaż, podejrzewam, że im też poprzewracałoby się w głowach.

Dziennikarz: Dlaczego mrówki?

Pisarz: A dlaczego nie? Zresztą, wszystko zależy od miejsca, z jakiego się patrzy.

Dziennikarz: Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.

Pisarz: Exactly! My postrzegamy innych przedstawicieli fauny jako mrówki, może ktoś z przestrzeni kosmicznej podobnie ocenia nas, kto wie? Co prawda jesteśmy większymi mrówkami, ale też o wiele słabszymi od tych naturalnych.

Pauza.

Wie pan, gdybym urodził się jeszcze raz i chciał się zemścić na ludziach, stworzyłbym im nową ideologię. Poprowadzić tłumy ku słonecznym dniom przyszłości – to najwspanialsze!

Dziennikarz: Chce pan powiedzieć, że żaden człowiek nie wytrzyma świadomości?

Pisarz: Człowiek zawsze o tym myślał – o świadomości. Na tym polegała jego wieczna walka. Marzył o jednym: żeby zrozumieć swój czas, swój cel, swoje miejsce, swój sens i swoją chwilę w wieczności. Teraz, kiedy jest najbliższy tego, świadomość jest jego głównym przeciwnikiem. Lepiej nic nie rozumieć – to choroba.

Dziennikarz: Ale czy właśnie nie dzięki świadomości społeczeństwa trzymają się kupy?

Pisarz: Oczywiście. Dlatego zawsze znajdzie się jakaś nowa idea, która pociągnie za sobą ludzi, zawsze znajdą się nowi kretyni, którzy w nią uwierzą. Każdy Chrystus przyda się ludzkości. Do krzyża wszystko jest w porządku, jeżeli chodzi o wielkie idee. Ale zmartwychwstanie – to już obłąd. Zresztą, dzisiaj Chrystusa zgnoiliby psychologicznym śledztwem. Miernik postępu. Piję za próchniejące krzyże. Wiwat!

Dziennikarz: Więc z czego brać siłę? Uważa pan, że nie ma żadnej pociechy?

Pisarz: Nie wiem – nie znam się na tym. Z punktu widzenia ludzi istnieją tylko winni i niewinni. Więc, jaką pociechę pan ma na



myśli? Gdzie jej szukać? Kto ma ją dać, kiedy nawet Jemu się nie udało? A nie udało Mu się, bo wybrał złe miejsce dla swojej misji.

Pauza.

Ludzie myślą, że technika terroru jest straszna i skomplikowana. Wcale tak nie jest. Kiedy się pierwszy raz uderzy bezbronnego człowieka w twarz, to trzeba albo zabić siebie, albo uderzyć po raz drugi. Za pierwszym razem nie ma się racji. Ale kiedy uderzy się po raz drugi, to ma się ją na pewno. Ale też nie ma się żadnej innej. Na szczęście potem jest już znacznie łatwiej: sam bity bowiem ułatwia nam już sprawę.

Dziennikarz: Muszę przyznać, że akurat tego pana wywodu nie rozumiem.

Pisarz: To proste. Bici nie unikają uderzeń z jednego powodu: nie chcą rozwścieczać swojego kata. Cała sztuka życia polega na całkowitym wyeliminowaniu rzeczy, które mogłyby pogorszyć los bitego. Ale skąd mógł o tym wiedzieć Jezus zalecający w czasie kazania na Górze, aby nadstawić policzek swemu oprawcy? – nie mam bladego pojęcia. Może znał już na tyle ludzi, aby im móc poradzić coś, co przydawać im się będzie do końca świata. Kto wie?

Dziennikarz: Więc, według pana, miłosierdzie naprawdę nie istnieje?

Pisarz: Właśnie w tym, co powiedziałem przed chwilą, znajduje się miłosierdzie. Zresztą, z mojego punktu widzenia istnieją ci, których da się uratować, i ci, których nie można. Poza tym, tak naprawdę, ważne jest tylko najbliższe pięć minut, w czasie których nie wiadomo, co z sobą począć.

Dziennikarz: Nadal jednak pan mi nie odpowiedział.

Pisarz: Na co?

Dziennikarz: Czy pan wierzy.

Pisarz: Nie słucha pan uważnie. Cały czas o tym mówię. Ale dobrze, powiedzmy, że wierzę. Ale nie widzę Go.

Dziennikarz: Może dlatego nie dostrzega Go pan, ponieważ Jego zobaczyć można tylko w oczach drugiego człowieka?

Pisarz: Okłamał mnie pan.

Dziennikarz: Ja!?

Pisarz: Przedstawił się pan jako dziennikarz, a okazuje się, że jest pan kaznodzieją.

Dziennikarz: Oczywiście, żartuje pan.

Pisarz: Po prostu spodobało mi się to, co pan powiedział. Dlatego wypiję za to.

Po chwili.

Dziennikarz: Czy dlatego pan zaczął?

Pisarz: To znaczy, co „zaczął”?

Dziennikarz: Pić. Zaczął pan pić ze strachu? Pan się czegoś boi?

Pisarz: Pan nie? Szczęściarz z pana. Ja teraz, jeśli oglądam jakiś film, mam wrażenie, że natychmiast po zakończonej projekcji zostanę aresztowany jako człowiek obojętnie przyglądający się bezprawiu. Nie jest to uczucie szczególnie miłe i dlatego staram się, jak mogę, unikać... kina (śmiech). Pana zdrowie!

Po chwili.

Chociaż, muszę przyznać, western zawsze się broni.

Dziennikarz: Dlaczego akurat western?

Pisarz: Bo to dobry gatunek filmowy, dotyczy spraw szlachealnych. Wie pan, co powiedział Tadeusz Konwicki o *Następnym do raju*? Że to nie jest książka, to właśnie western. I miał rację. Geneza westernu to obsesja sprawiedliwości: samotny człowiek, który musi niszczyć zło i przemoc. To nieważne, że robi się tysiące szmir, ale Jesse James, Earp i inni szybko idący są postaciami prawdziwymi. Taką postacią mógłby być

komunista, człowiek, który wprowadza ład i spokój w spalonym kraju i wśród ludzi zdesperowanych nieszczęściami – gdyby o to chodziło komunistom. Tyle że, jak wiemy, nigdy im o to nie chodziło. (Pije.)

Pauza.

Szkoda, bo z *Następnego do raj* można było zrobić dobry film. Jest tam wszystko: wypadki samochodowe, bicie po pysku, eksplozja, bohaterce filmu robią się na tyłku odciski, gdyż tak ją tam bez przerwy wszyscy rzną. Dobry film dla młodzieżowego widza. Ale stało się inaczej. Podobnie było z *Ósmym dniem tygodnia*, które, niestety, było kiepskim opowiadaniem, jednak film z tego, uważam, mógł powstać niezły. Tylko że filmy trzeba umieć robić. Ford, który Warszawę zna tylko z okna swego auta, umieścił akcję filmu na Starym Mieście. Agnieszka pęta się po cukierkowych ulicach, tam z kolei stoją statyści ubrani w koszulki gimnastyczne i udają lumpenproletariuszy, którzy zaczepiają dziewczynę. Chodziło mi o to, że dziewczyna, która widzi brud i ohydę wszystkiego, pragnie dla siebie i kochanego chłopaka jednej tylko rzeczy: pięknego początku ich miłości. Ford zrobił film na temat, że ludzie nie mają się gdzie rznąć. Co oczywiście nie jest prawdą, bo rznąć się można wszędzie. Usunął przy tym wszystkie drastyczne sceny. Słowem – Ford zniszczył starannie wszystko, co tam było zabawnego i dziecinnego. A wie pan dlaczego? Bo nie spotkałem na całej swojej drodze człowieka tak bezbłędnie cwanego jak on. Zmarnował niejednego człowieka, wiele pomysłów i filmów. Chytry, cwany oportunist, udający człowieka najbardziej rozgoryczonego i rozwścieczonego głupotą władz. Taki był wielki Aleksander Ford! (Pije.) Jeżeli da się dzisiaj oglądać ten film, to jedynie dzięki Zbyszkowi Cybulskiemu. Poprzez wiarygodność granej przez siebie postaci. Tylko on ratuje ten

film. Mądry i dobry chłopak, który umie naprawdę kochać i zna wartość tej sprawy.

Pauza.

Zapytał pan, czy się boję? Można powiedzieć, że człowiek w niebezpieczeństwie boi się tylko rzeczy nieznanych – i to będzie prawda. Można również powiedzieć, że człowiek prześladowany boi się, ponieważ wie, co go czeka. I to też będzie się zgadzać. Istnieje również trzeci wariant: człowiek boi się po prostu wszystkiego, jeżeli żyje w odpowiednim czasie i odpowiednim miejscu. Ten wariant jest najgłupszy. Ale jest także najprawdziwszy. Nie. Ja się nie boję. Chociaż nie umiem powiedzieć dlaczego.

Dziennikarz: Więc, o co chodzi?

Pisarz: O nic. Po prostu mam pecha.

Dziennikarz: Pecha.

Pisarz: Chodzi o to, że człowiek, gdy przestaje się bać, odzyskuje wiarę w kłamstwa. Co stanowi, niestety, przywilej ludzi wolnych. Poza tym przeczytałem gdzieś, że największym podświadomym pragnieniem człowieka jest, aby stać się niewolnikiem. Zaczynam w to wierzyć. Zresztą, im dłużej żyję, tym częściej zastanawiam się, gdzie jest granica pomiędzy wiernością, a niewolnictwem? Między zbrodnią, a koniecznością? Zawsze rozum ustalał tę granicę, rozum i sumienie. Teraz człowiek stał się tylko smętną igraszką polityki. O rozumie stara się zapomnieć we własnym interesie, a sumienie? Ten zasrany balast? Lepiej myśleć, że tego nigdy nie było. W innym przypadku życie staje się nie do wytrzymania. A wie pan dlaczego? Ponieważ własny głos słyszy się gardłem, lecz własne życie można słyszeć tylko własnym sumieniem.

Dziennikarz: Mało to optymistyczne, co pan mówi.

Pisarz: Wiem. Niestety, zawsze miałem problem z poczuciem humoru. Podejrzewam, że jeszcze w grobie będę bawić się grzechotką i czekać na Mikołaja.

Dziennikarz: No dobrze. A tak naprawdę?

Pisarz: Naprawdę – to ja nie lubię obozów koncentracyjnych. Problem jednak z tym, że nigdzie nie da się uciec od siebie. Zamieniliśmy życie w tak wielki koncentrat, że nie potrzeba nawet drutów kolczastych i strażników, psów i karabinów maszynowych. Tańczymy wszyscy kankana na wulkanie. Biedna zasrana ludzkość. Świat zbyt daleko zabrnął w zbrodnię, aby cokolwiek mogło powstrzymać szalone ręce. Wszystko zamazało się w strachu i zbrodniach. Dziś świat cały jest martwym domem. Można tylko kontemplować zagładę. Ludzkość zabrnęła w zbrodnię, z której nigdy już się nie wywikła. Na miejsce starych zbrodni powstaną nowe, wobec których tamte będą jak grzyby przy drzewach. Może wtedy, kiedy na tej planecie zostanie tysiąc osób, nauczą się one żyć? Dziś nie ma takiej zbrodni, której nie mógłby popełnić człowiek w imię wielkiego strachu. Wielki strach zwalnia od wszystkiego i załatwia wszystko. A wielkie rany trzeba leczyć wielkim bólem.

Dziennikarz: Nie uważa pan, że za dużo w tym fatalizmu?

Pisarz: Być może. Ale to tylko moja diagnoza. Inni mogą mieć swoją. Poza tym lepiej o tym nie myśleć. A takie rzeczy jak alkohol mogą w tym niezmiernie pomóc. Pana zdrowie. (Pije.)

Po chwili.

Wie pan, kto mnie najbardziej rozbawiał, gdy znalazłem się we Francji? Dziennikarze francuscy, byli naprawdę zabawni. Głupio mnie pytali, więc odpowiadałem im najgłupiej jak potrafiłem. Aż w końcu coś do nich dotarło i zapytali mnie,

czy istnieje możliwość, abyśmy mogli się nawzajem zrozumieć. Wie pan, co im odpowiedziałem?

Dziennikarz: Słucham.

Pisarz: Powiedziałem im, że czołgi sowieckie na ulicach Paryża stworzyłyby nam wspólną płaszczyznę porozumienia i mnóstwo czasu na dyskusję. W więzieniach pracuje się co prawda do wieczora, ale w nocy też można przecież pogawędzić.

Dziennikarz: Nie lubi pan dziennikarzy?

Pisarz: Dlaczego? Wykonują swój zawód. Tak jak policjanci, pielęgniarki, górnicy i cała reszta. Zresztą, gdybym naprawdę nie lubił, nie rozmawiałbym tutaj z panem.

Dziennikarz: Właśnie. W swoim czasie i pan tym się trochę zajmował.

Pisarz: Tak. Ale krótko.

Dziennikarz: Z tego, co wiem, to nawet w dowodzie miał pan wpisane: dziennikarz.

Pisarz: To prawda.

Dziennikarz: Jak pan wspomina tamten okres w *Po prostu*?

Pisarz: To mogło być najlepsze pismo w Polsce. Niestety, stało się inaczej.

Dziennikarz: Dlaczego?

Pisarz: Partia, ze swojego punktu widzenia, rozegrała bezbłędnie sprawę tego pisma. *Po prostu* pracowało dla partii; *Po prostu* rozkołysało masy; *Po prostu* było pierwszym pismem w Polsce, które przeprowadziło wywiad z Władysławem Gomułką; *Po prostu* walczyło o Gomułkę. I *Po prostu* zostało przez Gomułkę zniszczone.

Dziennikarz: Ale, dlaczego?

Pisarz: Musi pan kogoś innego o to zapytać. Logika takiego postępowania znajduje się poza moim rozumieniem spraw.

Dziennikarz: A później nie próbował pan w innym piśmie...?

Pisarz: Były takie plany. Chodziło o pismo *Europa*. Jej naczelnym był Jerzy Andrzejewski. Ale to pismo z kolei nie ukazało się nigdy, a ja zaraz potem wyjechałem z kraju.

Dziennikarz: Tutaj przyczyn też pan nie zna?

Pisarz: Po zrobieniu pierwszego numeru – jeszcze przed oficjalnym wydaniem naturalnie – pismo dotarło do Komitetu Centralnego. A tam podjęto szlachetną decyzję, że nie ma potrzeby wydawania takiego pisma. Widocznie numer okazał się zbyt dobry – taka jest moja odpowiedź.

Pauza.

I tak zakończyła się moja przygoda z dziennikarstwem.

Po krótkiej chwili.

Dziennikarz: A jak było ze śmiercią Barbary i Jana, zdaje się pana przyjaciół z redakcji.

Pisarz: Normalnie. Popelnili samobójstwo.

Dziennikarz: Właśnie o to pytam: dlaczego?

Pisarz: Skąd ja mogę wiedzieć? Nie jestem śledczym.

Dziennikarz: Ponoć pan był tego przyczyną.

Pisarz: Byłbym szczęśliwy, gdyby tak było. Nie należy mnie jednak przeceniać. Nie żyją dlatego, że nie chcieli żyć z ludźmi takimi jak pan i ja. To wszystko.

Dziennikarz: Mam wrażenie, że ucieka pan jednak od odpowiedzi.

Pisarz: Dobrze, powiem panu. Owszem, żyłem z Barbarą, kiedy Jan był w szpitalu, ale Jan był w szpitalu dlatego, że posadzili go najpierw za zbrodnie, których nie popełnił. Po czym Jan wrócił, ujrzął straszliwą prawdę i kres. Tak, to się zawsze mówi w takich wypadkach. Kres. Cisza. Ciemność. Tak można bez końca. Tutaj nic się nie kończy – wszystko

zaczyna się od początku i jest tak samo przeklęte i podle. Może koniec jest w piekle, ale piekło to fraszka. Prawdziwe piekło jest tutaj, na ziemi. A wie pan dlaczego? Bo życie jest jeszcze gorsze i jeszcze paskudniejsze od wszystkiego, co da się na ten temat powiedzieć.

Po chwili milczenia.

Można by spróbować uciec przed tym w sen. Ale najpierw trzeba go mieć, oczywiście zdrowy. Ja mam duży problem ze snem. Muszę łykać różne paskudztwa, żeby usnąć. A potem budzę się z przerażenia, że umarłem już, że już mnie nie ma. Okropne uczucie.

Pauza.

Wie pan, kim kiedyś chciałem zostać? Nie uwierzy pan – aktorem.

Dziennikarz: Dlaczego akurat aktorem?

Pisarz: Dziwi się pan, gdy patrzy na moją twarz. Ma pan rację. Ale dzisiaj nikt nie wymaga od aktora urody. Wystarczy, aby umiał się schylić, kiedy przechodzi pod krzesłem. Na szczęście szybko przeszedł mi ten kaprys.

Krótką pauza.

Myśli pan, że byłbym dobrym aktorem?

Dziennikarz: Nie wiem, nie znam się na tym. Być może byłby pan dobrym aktorem – nie wiem tego. Ale chyba najgorsze, że pan też tego nie wie.

Pisarz: To prawda. Dopóki się czegoś nie spróbuje, nie wie się nic na dany temat.

Po chwili.

Dziennikarz: Dlaczego akurat aktorstwo pana interesowało?



Pisarz: Żeby się ukryć między ludźmi – przed ludźmi. Tylko nie wiem, dokąd przed nimi można uciec.

Dziennikarz: Można z nimi żyć.

Pisarz: Nie. Boję się.

Dziennikarz: Ludzi? Dlaczego?

Pisarz: Są tacy jak ja.

Dziennikarz: Rzeczywiście. Myślę, że byłby pan chyba niezłym aktorem.

Pisarz: Mam zły głos. Tego nie dało się naprawić. (Pije.) Głos to bardzo ważny instrument w pracy aktora. W końcu aktor to nie tylko jakieś tam słowa i ruch, to również odpowiedni głos.

Dziennikarz: Nie wydaje mi się, żeby miał pan zły głos. Myślę, że jest w porządku.

Pisarz: Kłamie pan, mam zły głos. Zupełnie niesceniczny.

Dziennikarz: Powiedziałem, że się nie znam. Ale dla mnie brzmi dobrze.

Pisarz: Nieważne.

Dziennikarz: Może dlatego.

Pisarz: Słucham?

Dziennikarz: Może zawinił tutaj alkohol?

Pisarz: Nie myślę. Mógł go co najwyżej pogorszyć. Zły mam od urodzenia. Taka przypadłość – warszawska. (Pije, po czym zaciąga się papierosem.)

Pauza.

Jednak dziwne te papierosy. W ogóle nie smakują niż zwykle. Nie uważa pan?

Dziennikarz: Nie czuję nic niezwykłego. Papieros jak papieros – wydaje się normalny.

Pisarz: Może ma pan rację.

Po krótkiej chwili.

Dziennikarz: I dlatego zaczął pan pisać?

Pisarz: Dlatego?

Dziennikarz: Że nie wyszło nic z aktorstwem.

Pisarz: Może dlatego, że postanowiłem poświęcić życie głupstwu.

Dziennikarz: Więc literatura to głupstwo?

Pisarz: Tak. A ja jestem idiotą. Zresztą, mało jest zajęć dla dorosłych ludzi. Być może, iż mogłem tego nie robić. Tak czy owak teraz jest zbyt późno. Poza tym pisanie jest równie wspaniałe jak picie.

Dziennikarz: Tak, to jest argument.

Pisarz: Tak naprawdę, to zacząłem pisać dzięki matce. Podsuwała mi książki do czytania – tak, że stało się to moim drugim nałogiem.

Dziennikarz: Drugim?

Pisarz: Pierwszym były samoloty i samochody. Pamiętam, kiedyś w nagrodę dostałem książkę. Byli to „Kierowcy” Anatola Rybakowa. I była to pierwsza socrealistyczna książka jaką przeczytałem, i muszę powiedzieć, że wpadłem w osłupienie. Tak głupio, to i ja potrafię, powiedziałem sobie. I zacząłem. A potem spotkałem Newerlego i on dał mi radę, najmądrzejszą radę, jaką słyszałem od człowieka piszącego: „Jeśli pan chce coś napisać, niech pan o tym opowiada. Wszystkim. To nieważne, czy ludzie pana rozumieją, czy nie. Niech pan mówi; za każdym razem, opowiadając, musi pan budować swoją historię od początku do końca; po jakimś czasie zrozumie pan, które elementy są ważne, a które nie. Chodzi o to, aby pan sam to sobie umiał opowiedzieć”. I tak zacząłem opowiadać. Nie wiem do czego zmierzam. Wiem tylko, że będę biegł przez całą drogę i że będę mówił przez cały czas.

Dziennikarz: I muszę przyznać, że opowiada pan niezwykle interesująco.

Pisarz: Świetnie. To oznacza, że ogromny trud nie poszedł na marne. No i koniec.

Dziennikarz: Słucham?

Pisarz: Płyta się skończyła. (Robi kilka kroków.) Pozwoli pan, że nastawię to samo jeszcze raz.

Dziennikarz: Oczywiście. Również lubię...

Po chwili w tle ponownie rozbrzmiewa ten sam utwór. Pisarz wraca na swoje miejsce.

Słyszał pan, że w polskiej literaturze istnieje termin „hłaskoizm” i istnieją hłaskoidzi?

Pisarz: Dowiedziałem się o tym z gazet. Nie ja ukułem ten termin. Obojętne jak nazywają rozczarowanych, to nie zmienia faktu. Mogą pisać lepiej czy gorzej ode mnie. Mogą być bardziej podobni, czy podobni mniej – faktem jest, że oni istnieją, i faktem jest, że bez względu na to, czy ich książki będą się ukazywać, czy nie – oni będą istnieć. Ja osobiście sam nie wierzę w przyszłość tego typu literatury, ale jestem przekonany o aktualnej jej konieczności.

Dziennikarz: Nierzadko zarzuca się panu cynizm.

Pisarz: Nigdy nie byłem cynikiem, mało – gardzę cynizmem. Cynizm mnie śmieszy. Ale wierzę w bunt jako punkt wyjścia, wyjścia do znalezienia sobie miejsca w życiu i społeczeństwie. Wierzę w bunt jako w najwyższą wartość młodości. Wierzę w bunt jako w najwyższą formę miłości do życia młodych. Wierzę w bunt jako w najwyższą formę nienawiści do terroru, ucisku i niesprawiedliwości i wierzę również w to, że nie ma buntu bez celu, chociaż w interesie, który kocha swoich buntowników, leży to, aby ich zabić. A

bunt nie może być sprawiedliwy, tak jak nie jest sprawiedliwy świat, w którym rodzi się bunt. „Hłaskoizm” dla sprawy pokolenia – to śmieszny i żalony termin.

Pauza.

Wie pan – kiedyś myślałem, że każda literacka postać powinna mówić swoim własnym językiem. Dzisiaj wiem, że nie jest to warunek sine qua non. W literaturze bowiem decyduje wizja i szaleństwo. To dobrze, jeśli ludzie mówią tak samo, jeśli depczą sobie po piętach i bredzą bez przerwy o tym samym. Inaczej natomiast rzecz wygląda z donosami – tak zawsze aktualnym w naszej literaturze. Tutaj należy dbać o język opisywanych postaci, tutaj trzeba zachować za wszelką cenę wiarygodność. Forma donosu policyjnego wymaga absolutnego klasycyzmu formy i stylu. Gdyby mój dorobek pisarski upoważniał mnie do dawania rad młodym, powiedziałbym im: Każdy z was powinien przez jakiś czas popracować dla tajnej policji, żeby wyrobić sobie styl i jasność myślenia. Książki trzeba pisać tak jak donosy, pamiętając przy tym, że głupio napisany donos może zniszczyć przede wszystkim ciebie. Poza tym nieważne, kto lub co nas skłoniło do pisania, istotne, dlaczego i po co. Ja zawsze chciałem ocalić miłość.

Dziennikarz: Ocalić miłość?

Pisarz: Ludzie, którzy kochają trzy razy w roku, nie czynią tego nigdy naprawdę, nawet wtedy, kiedy sami są o tym przekonani. A potem strasznie jest patrzeć, jak miłość umiera. I dlatego piszę.

Dziennikarz: Mógłby pan to rozwinąć?

Pisarz: Rzecz w tym, że wszystko umiera. Miłość też. Dlatego chciałbym ją opisać i żeby trwała wiecznie. Chociaż ona. W

moich słowach. Dlatego piszę o litości, uczuciu, które zawsze bierze górę nad miłością i które tyle kobiet doprowadziło do klęski. O jednym trzeba jednak zawsze pamiętać: książki warto pisać tylko wtedy, jeśli przeskoczy się ostatnią granicę wstydu. Pisanie jest bowiem rzeczą bardziej intymną od łóżka.

Po chwili.

Dziennikarz: W takim razie może pan powie coś o warsztacie pracy. Kiedy pojawiają się pomysły robi pan notatki, wypełnia dziesiątki kartek z informacjami i dopiero zasiada do pracy, gdy wiadomo z nich, jak potoczy się historia, czy raczej wszystko przebiega inaczej, podąża jednak w innym kierunku?

Pisarz: To zależy. Na początku jest pomysł i wtedy wszystko jest świetne. Potem zaczyna się pisać i wtedy jest już gorzej. A kiedy człowiek wreszcie skończy, widzi tylko zmarnowany pomysł i nic więcej.

Dziennikarz: I co wtedy?

Pisarz: Wtedy przychodzi czas wstydu. Niektórzy piją, inni zamykają się w domu. Każdy się dręczy na swój sposób. A potem przychodzi nowy pomysł i znów zaczyna się zabawa od początku.

Dziennikarz: Z takim samym końcem?

Pisarz: Przeważnie. Miernoty pocieszają się wcześniej.

Pauza.

Wie pan – nigdy nie mogłem zrozumieć, na czym polega nieszczęście literatury polskiej. Logicznie rzecz biorąc, mało który naród ma tak wiele szans na dobrą literaturę jak my, Polacy. Mamy wszystko: nieszczęścia, mordy polityczne, wieczną okupację, donosicielstwo, nędzę, rozpacz, pijaństwo – czegoż jeszcze trzeba, na Boga?

Po chwili.

Dlaczego pan mi się tak przygląda?

Dziennikarz: Patrzę na pana twarz.

Pisarz: I, co pan widzi?

Dziennikarz: Zmęczenie.

Pisarz: A czego pan się spodziewał? Nie jestem noworodkiem. Mam 35 lat i trochę w życiu przeszedłem.

Dziennikarz: Myślę, że jednak miał w tym udział również alkohol, papierosy...

Pisarz: Niewykluczone. Kiedyś piłem jednak więcej. Podobno łatwiej się umiera. Tak mówią. Poza tym twarz nic nie znaczy. Człowieka najlepiej poznaje się po rękach. Stanowczo fatalne jednak dzisiaj te papierosy (gasi go).

Po chwili.

Dziennikarz: Myśli pan czasem o samobójstwie?

Pisarz: To jest jedyny problem, jaki może mieć uczciwy człowiek w dzisiejszych czasach. Wie pan – każdy samobójca ma własną wizję śmierci. Jeden może się tylko otruć, drugi zastrzelić, trzeci wiesza się na kłamce. Nie ma samobójstw uniwersalnych, jeśli chodzi o maniaków depresyjnych. Każdy lekarz powie to panu. Właśnie na tym to wszystko polega, że ich nie można upilnować, bo każdy kombinuje, jak by tu wykorkować według własnego pomysłu i układu.

Dziennikarz: Są też i tacy, którzy zabijają się w gniewie, a wtedy jest im wszystko jedno.

Pisarz: To prawda. Ale to ludzie, którzy się wściekli, albo których spotkało jakieś straszne nieszczęście. Ci wtedy skaczą z okien i podcinają sobie żyły. Jakby na to nie spojrzeć przed tym nigdzie nie można uciec.

Dziennikarz: Pan niech lepiej o tym nie myśli.

Pisarz: Nie myślę. To samo przychodzi. Zawsze. I zawsze w odpowiednim momencie.

Dziennikarz: Ma pan broń?

Pisarz: O to zawsze mogę się postarać. Gdy przyjdzie czas i pomyślę o tym, zrobię to. Tak czy owak sznur zawsze gdzieś na mnie czeka. Tak jak i ziemia. Bo każdy człowiek powinien mieć przyzwoity grób. Powinien leżeć w prawdziwej trumnie, aby nie pożarły go robaki i nie gnoiła wilgoć. Jeśli się nie ma miejsca na ziemi, powinno się mieć przynajmniej miejsce w ziemi. Ziemia, każda ziemia – choćby najgorsza, jest prawdą. A każdy raj – choćby najlepszy, jest, mimo wszystko, kłamstwem. I nic więcej nie warto na ten temat mówić.

Po chwili milczenia.

Dziennikarz: Jak długo pan choruje na angina pectoris?

Pisarz: Od sześciu lat. Od dwudziestego dziewiątego roku życia.

Dziennikarz: Zdaje się, że miał pan już zawał serca.

Pisarz: Dwa – jeżeli chodzi o ścisłość. Ostatni przed ośmioma miesiącami.

Dziennikarz: Mówią, że trzeci jest zwykle najniebezpieczniejszy. Ale to nie stanowi oczywiście reguły.

Pisarz: Wiem o tym.

Dziennikarz: Wcale nie jest powiedziane, że trzeci zawał w ogóle nastąpi. Niemniej zawsze trzeba się z nim liczyć i być przygotowanym.

Pisarz: Wolę powiedzieć, że jestem przygotowany na nic. Jestem po dwóch zawałach serca, a teraz czeka mnie trzeci. Doktor, u którego byłem, nawet nie wysiłał się, aby ukryć przede mną, iż tym razem trafi mnie szlag.

Dziennikarz: Wylezie pan z tego. Może trzeba tylko być dobrej myśli. Człowiek potrafi wiele wytrzymać.

Pisarz: Zapewne. Ale skazani na śmierć nigdy nie wracają.

Dziennikarz: Chce pan powiedzieć, że to coś na kształt przeznaczenia?

Pisarz: Nic nie chcę powiedzieć. Ponad to, co powiedziałem. (Pije.)  
No i wyszła.

Podnosi się i robi kilka kroków.

Pozwoli pan, że otworzę sobie jeszcze jedno piwko. A może jednak skusi się pan?

Dziennikarz: Naprawdę dziękuję.

Pisarz odstawia pustą butelkę, zabiera pełną i wraca na swoje miejsce. Otwiera ją.

Po chwili.

Dziennikarz: Jaki pan ma stosunek do tego, co do tej pory pan napisał?

Pisarz: Szczerze, to więcej prawdy o życiu jest w ogłoszeniach i nekrologach, niż we wszystkim, co napisałem na kilkuset stronach swej prozy. Napisałem do tego czasu kilkadziesiąt opowiadań, z których czytać mogę tylko cztery, nie lubię jednak ani jednego, lubię myśleć o tym, co napiszę – wtedy wszystko wydaje się okej. Potem, kiedy piszę, jest już znacznie gorzej.

Pauza.

W ogóle dałem sobie czas do czterdziestki na napisanie dobrej, porządnej książki. Jeżeli tego nie zrobię, wezmę się do innej roboty. Mam siedemnaście zawodów i każdej chwili mogę pracować jako betoniarz, szofer, czy też spawacz.

Dziennikarz: Chyba jednak jest pan za ostry w stosunku do siebie. Ja w pana książkach dostrzegam ogromny tragizm istnienia jednostki, ustawiczne zmaganie się, walkę...

Pisarz: Niech pan da spokój z tą wazeliną. Nigdy nie stworzymy literatury tragicznej, ponieważ doświadczenie jest



nieprzekazywalne. A zresztą, nikt nam nie uwierzy w to, co przeszliśmy. (Pije.)

Dziennikarz: Może to efekt obronny? Może ludzie bojąc się cierpienia, pragną niegasnącego śmiechu i niekończącego się nigdy szczęścia?

Pisarz: Szczęściarz z pana.

Dziennikarz: Nie myślę.

Pisarz: Mówię panu. Takie myślenie charakteryzuje właśnie ludzi szczęśliwych.

Dziennikarz: Czy to grzech, że ludzie chcą być szczęśliwi?

Pisarz: A pan?

Dziennikarz: Co – ja?

Pisarz: Też pragnie być szczęśliwy?

Dziennikarz: Mówi pan tak, jakby nie lubił życia.

Pisarz: A za co niby mam je lubić? Po co było w ogóle rodzić się człowiekiem. Gdybym był kroplą w morzu, żyłbym w wiecznie chłodnej czy też ciepłej wodzie, ale wiecznie żywej, wiecznie rozkołysanej.

Dziennikarz: Ale pozbawiony byłby pan wtedy świadomości. Świadomości istnienia, naturalnie.

Pisarz: Nie uważa pan, że tak byłoby lepiej? Świadomość zabija.

Dziennikarz: Jak mam to rozumieć?

Pisarz: Jak pan chce. (Pije.)

Dziennikarz: Nie chce pan odpowiedzieć?

Pauza.

Myślę, że to jest wygodnictwo.

Pisarz: Słucham?

Dziennikarz: Brak odpowiedzi.

Po dłuższej chwili.

Wróćę do postawionego wcześniej pytania, na które pan trochę pokrętnie odpowiedział: Wierzy pan w Boga?

Pisarz: Mikołaj Stawrogin powiedział, że gdyby mu matematycznie udowodniono, że Chrystus nie istnieje, wolałby zostać z Chrystusem, a nie z prawdą.

Dziennikarz: Nadal pan nie odpowiedział.

Pisarz: A pan wierzy?

Dziennikarz: Zawsze w Niego wierzyłem. Mam Go w swoim sercu.

Pisarz: I myśli pan, że Boga wszędzie można wziąć ze sobą?

Dziennikarz: Tak myślę. On żył, żyje i zawsze będzie żył. On bowiem jest wieczny i jest wszędzie.

Pisarz: A jak Go się weźmie do komory gazowej, to którą On stamtąd wychodzi?

Dziennikarz: To... to, co my sobie nawzajem robimy, jest niezależne od Niego.

Pisarz: Myli się pan. On nas stworzył, więc On bierze odpowiedzialność.

Dziennikarz: Za siebie i swoje czyny odpowiadamy my sami. Dlatego, że mamy wolną wolę. A pan niepotrzebnie bluźni.

Pisarz: Bóg mi wybaczy. Jest miłosierny.

Dziennikarz: Tak, z tym się z panem zgodzę: On jest miłosierny.

Po chwili.

Pisarz: Zastanawiał się pan kiedyś, dlaczego Ewangelie różnią się między sobą?

Dziennikarz: To znaczy?

Pisarz: To znaczy, że w jednej Chrystus skarży się, że Bóg go opuścił, a w pozostałych trzech przyjmuje śmierć z pokorą.

Dziennikarz: Kiedy byłem w seminarium...

Pisarz: Gdzie pan był – w seminarium?

Dziennikarz: Tak, na czwartym roku jeszcze przed święceniemi kapłańskimi porzuciłem stan duchowny.

Pisarz: Czyli trafiłem z tym kaznodzieją. Kobieta?

Dziennikarz: Skąd pan wie?

Pisarz: Nie wiem – strzelam. Ale to raczej banał, więc w zasadzie żadne zaskoczenie.

Dziennikarz: Więc kiedy byłem jeszcze w seminarium, pytałem o to samo. I wtedy ten, który nas uczył, miał u nas wykład o Judei. Ale nie powiedział nam nic więcej. A po trzech tygodniach poprosił nas, abyśmy mu powiedzieli dokładnie, o czym mówił, i każdy z nas mówił co innego. Wtedy on nam powiedział: widzicie, już po trzech tygodniach nie potraficie zrekonstruować tego, o czym mówiłem. A Chrystus zmarł dwa tysiące lat temu.

Pisarz: Niech pan przyhamuje.

Dziennikarz: Słucham?

Pisarz: Popada pan w niebezpieczną ekstazę, kiedy tak mówi pan o Bogu. Lepiej przyhamować.

Dziennikarz: Być może. Ale może tak się dzieje, ponieważ odnalazłem Go, podczas gdy pan...

Pisarz: Podczas gdy ja...

Dziennikarz: Pan dopiero Go poszukuje.

Po chwili.

Pisarz: Powiem panu o pewnym człowieku, misjonarzu, który głęboko wierzył. Tak bardzo, że pojechał z misją nawracania do Izraela.

Dziennikarz: I co, powiodło mu się?

Pisarz: Odwołali go, bo nikogo nie nawrócił. Wie pan, dlaczego?

Dziennikarz: Zapewne miał słaby dar przekonywania. Albo nie miał go w ogóle.

Pisarz: Nic z tych rzeczy. Ci, do których się zwracał, mieli już swojego boga.

Dziennikarz: Czyli źle trafił. Obrał niewłaściwy teren na swoją działalność.

Pisarz: Tak. Można tak powiedzieć. Podobnie rzecz się ma z Chrystusem.

Pauza.

Wie pan, jakie Bóg dał człowiekowi jedno, ale za to zasadnicze dobrodziejstwo? Samotność. Człowiek musi być sam, zawsze sam, jeśli chce zrobić cokolwiek. To wszystko dobre, czym człowiek może być. Każdy drugi jest wrogiem. Ludzie tego nie rozumieją i łązą po sobie jak pająki po gównie. Trzeba być samemu, zawsze samemu, aż stąd do wieczności. Tylko wtedy jest siła i pragnienie i nie ma cierpień, ani strachu, ani złych snów po drodze. Zawsze kiedy byłem sam było mi dobrze.

Dziennikarz: Może drugi człowiek jest wrogiem, który jednak jest nam niezbędny? Żebyśmy mogli sobie uświadomić, kim jesteśmy, my – pojedynczy, dla samych siebie.

Po chwili.

Pisarz: Całkiem prawdopodobne. Ale jest coś, czego nie rozumiem w tej historii o Nim. Czytałem książkę, której tytułu nie pamiętam. I ten autor pisze, że ze wszystkich uczniów Judasz najbardziej kochał Chrystusa, ale nie wierzył w skuteczność walki, którą prowadził Jezus. Wierzył w walkę, którą prowadził Barabasz, i pomyślał, że kiedy Chrystus znajdzie się w obliczu tortur, uczyni cud i oswoodzi swój kraj.

Dziennikarz: To tylko hipoteza. We wszystkich uznanych przez Kościół Ewangeliach nie ma ani jednego słowa o stosunku pomiędzy Barabaszem a Judaszem. Takich książek można napisać wiele.

Pisarz: A jednak wierzę, że Judasz kochał Go najwięcej. I to mnie dręczy. Dlatego tylko on zabił się, kiedy Jego już nie było. Ten inny zaparł się Go i nie uczynił sobie nic złego.

Dziennikarz: To obojętne co mówią cztery Ewangelie. I obojętne nawet, jeśli się poskarżył. Nawrócił miliony ludzi. Pluli na Niego, przybijali Go gwoździami, dawano Mu cykutę, obrzucali Go obelgami, ale nikt się z Niego nie śmiał. Umierał jako najszcześniejszy człowiek na świecie. I nigdy nie było i nigdy już nie będzie człowieka tak szczęśliwego, jakim był Chrystus. Myślę, że tylko On jest jedyną istotą, którą można kochać wiecznie.

Pisarz: Myli się pan: śmiali się z Niego. Patrzyli na Niego i mówili: Jezus z Nazaretu. Rex Judais.

Dziennikarz: Tak, to prawda. Nie oszczędzali Mu niczego.

Po chwili.

A pan, pan boi się śmierci?

Pisarz: Nie, nie boję się śmierci. Boję się tylko umrzeć.

Dziennikarz: Przecież to to samo.

Pisarz: Myli się pan. To są dwie różne rzeczy i tego nie wolno mieszać. Śmierć sama w sobie nie jest najgorsza, bo to nieuniknioność, o wiele gorsze jest umieranie.

Dziennikarz: Jak mam to rozumieć?

Pisarz: Jak pan chce. Jest pan w końcu inteligentnym człowiekiem.

Dziennikarz: Wszystko widzi pan aż w tak czarnych barwach?

Pisarz: Powiem panu coś. I niech pan postara się dobrze to zapamiętać. (Pije.)

Dłuższa cisza.

Dziennikarz: Słucham. Co takiego mam sobie zapamiętać?

Pisarz: Dotychczas myślałem, że ludzie dzielą się na dwie kategorie.

Po chwili milczenia.

Dziennikarz: Mianowicie?

Pisarz: Owce – to pierwsza. Druga – wilki. Ale istnieje również trzecia kategoria – szakale. Tych jest najwięcej.

Dziennikarz: Tak bardzo pan ich nienawidzi?

Pisarz: Kogo?

Dziennikarz: Komunistów.

Pisarz: Powiedziałem tak ogólnie.

Dziennikarz: To znaczy, że...

Pisarz: To znaczy to, co powiedziałem.

Dziennikarz: Więc... Przebaczyłby im pan?

Pisarz: Nie są warci przebaczenia.

Dziennikarz: Dlaczego? Tak bardzo zawinili?

Pisarz: Ponieważ każdy umie zabić, ale tylko prawdziwi ludzie umieją darować życie.

Dziennikarz: Gardzi pan nimi.

Pisarz: Jeżeli o mnie chodzi, nie mam nic przeciwko nim. Jak powiedziałem wcześniej: jestem tylko świadkiem w procesie oskarżenia. Tak długo, jak oni popełniają świństwa, a ja mogę o tym pisać – wszystko jest dla mnie okej. Małe świństwa bowiem mówi się głośno, wielkie szeptem, prawdy natomiast nie mówi się w ogóle. Zresztą, kto wie, czy każda prawda nie jest gruncie rzeczy największym świństwem. Ja jestem w tej dobrej sytuacji, że jako pisarz mogę o tym mówić głośno.

Dziennikarz: Nie uważa pan, że to może być niebezpieczne?

Pisarz: Wiem. Jednak, czy chcę czy nie chcę, jestem świadkiem w tym procesie.

Dziennikarz: Posługując się pańską retoryką, powiem, że można nie składać zeznań, zrezygnować...

Pisarz: To znaczy stchórzyć i uciec?

Dziennikarz: Od razu takie mocne słowa. Ale gdyby nawet, to czy to coś złego?

Pisarz: Prawdziwy człowiek nigdy nie ucieka. Zresztą – przed nimi nikt nie ucieknie. Nie ma dokąd. A ja już przywykłem do niebezpieczeństwa.

Dziennikarz: Taka postawa, to między innymi wynik pana pobytu w więzieniu, czy bardziej jednak kwestia charakteru?

Pisarz: Chyba o każdej naszej ocenie decyduje suma doświadczeń.

Dziennikarz: Jak się nie mylę, był pan w kilku więzieniach.

Pisarz: Nie myli się pan. (Pije.)

Po chwili.

W ogóle w więzieniu jest raczej wesoło, jeżeli się podejździe do tego, oczywiście, w sposób właściwy.

Dziennikarz: To znaczy?

Pisarz: To znaczy – wszyscy są niewinni, wszystko jest omyłką, która na pewno niedługo się wyjaśni.

Dziennikarz: Nie rozumiem.

Pisarz: Nie pan jeden. Ci co siedzą też nie mogą tego pojąć. Takie skumulowanie pomyłek w jednym miejscu, że aż musi przerażać.

Dziennikarz: Mógłby pan trochę jaśniej?

Pisarz: To proste. W więzieniu w Palermo spotkałem człowieka, który zabił narzeczoną i jej matkę; spodziewał się zwolnienia za parę dni. W więzieniu w Jaffie zaprzyjaźniłem się z człowiekiem trudniącym się przemytem narkotyków od czasu powstania państwa Izrael; spodziewał się zwolnienia za parę dni. W więzieniu w Monachium siedziałem z facetem, który dokonał trzydzieści siedem rabunków; spodziewał się zwolnienia za parę dni. Dzieje się tak, ponieważ w historii więziennictwa całego świata nie było jeszcze ani jednego winnego więźnia (śmiech).

Dziennikarz: Więc? Jaki z tego wniosek?

Pisarz: Jeden – zasadniczy: w ogóle nie jest źle, jeśli tylko zaufa się szaleństwu. (ze śmiechem) Pana zdrowie! (Pije.)

Dłuższa chwila milczenia.

Dziennikarz: Już?

Pisarz: Niech pan pyta, ja mam podzielną uwagę (ze śmiechem) – mogę pić i jednocześnie rozmawiać. Dobra komunistyczna szkoła.

Dziennikarz: A niewinni? Przecież...

Pisarz: Błąd. Takich nie ma, nie istnieją. Tylko nienarodzeni są niewinni. Nie powiedziano tego panu?

Dziennikarz: Ale człowiek nie jest przecież istotą doskonałą, pomyłki się zdarzają.

Pisarz: Powiedziałem panu – nikt nie jest niewinny. Poza tym wymiar sprawiedliwości nie polega na pytaniu kto jest winny, a kto nie. Chodzi o to, aby mieć winnego.

Dziennikarz: Ale...

Pisarz: Rzecz w tym, że wszystko jest dobre pewnego dnia, jeśli już się dokładnie nie pamięta.

Po chwili.

Dziennikarz: A kobiety?

Pisarz: Co – „kobiety”?

Dziennikarz: Też się wydają dobre, gdy już się ich nie pamięta?

Pisarz: Nie wiem tego. Zbyt mało ich miałem i nigdy o nich nie myślę. (Pije.)

Dziennikarz: Czyżby?

Po chwili.

Pisarz: Miałem kiedyś dziewczynę, która nazywała się Esther. A potem zaszła w ciążę i jej rodzice kazali się jej wyskrobać, ponieważ mnie nie cierpieli. Ale ona bała się tego i któraś z jej koleżanek powiedziała, że jeśli prześpi się z innym



mężczyzną, to jego sperma zabije moją. I ona to zrobiła, bo tak cholernie się bała doktora. A potem ona mi to powiedziała, a ja nigdy do niej nie wróciłem. I to była moja ostatnia dziewczyna.

Dziennikarz: Ostatnia? A pana żona?

Pisarz: Z tych, które coś znaczyły ostatnia. Oprócz oczywiście mojej żony. Sonja była i jest zawsze poza dyskusją.

Dziennikarz: Zapewne była...

Pisarz: Ładna?

Dziennikarz: To oczywiste. Gdyby taka nie była dla pana zapewne nie byłby pan z nią.

Pisarz: To prawda. Miała mocną szyję i prosty nos, i brwi jak skrzydełka, i oczy miała zielone i piękne usta, a jej szczupłe ramiona były ciemne i mocne, i kiedy szła wszyscy mężczyźni patrzyli na nią, ale ona nic o tym nie wiedziała. Była zbyt młoda, aby rozumieć ich spojrzenia. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że jeżeli mężczyzna i kobieta spotykają się aby kochać, to spotykają się w pustym miejscu, gdzieś na samym środku wypalanej ziemi, gdzie nie dociera ani dźwięk, ani hałas i gdzie nie wracają te wszystkie słowa, które ona powiedziała innym i które on powiedział innym. I to prawda, że z każdej z nich można zrobić kurwę. Ale to tylko dlatego, że nie umiemy z nich zrobić świętych.

Dziennikarz: Chce pan powiedzieć, że wszystkie kobiety są dobre i że to wina mężczyzn, iż stają się inne, tak?

Pisarz: Mniej więcej.

Po chwili.

Dziennikarz: I co się z nią stało? Z Esther.

Pisarz: Nic. Zabiłem ją, gdyż za bardzo ją kochałem i nie chciałem być niewierny.

Dziennikarz: Co pan zrobił – zabił?

Pisarz: Odchodząc. I było tak, jakby coś we mnie umarło. A potem zapomniałem, że to umarła ona. I wtedy pomyślałem o tym, iż całe życie żyłem tak, aby z chwilą kiedy zginę, nie zostało po mnie niczyje prawdziwe wspomnienie. I dlatego nie mówiłem nigdy ludziom prawdy o sobie. I dlatego wymyślałem rzeczy, które nie zdarzyły się nigdy. I dlatego uciekałem przed wszystkim, co mogłoby się zdarzyć, gdyż bałem się ludzi i nie chciałem, aby nie zostało po mnie nic.  
(Pije.)

Pauza.

A potem, kiedy zabrakło już Esther, mówiłem to wszystkim kobietom, aby przestało to coś znaczyć w moim życiu raz i na zawsze. Mówiłem te same słowa co jej i w tych samych momentach, ponieważ nie było już Esther, a ja chciałem zniszczyć to wszystko, co należało się jej, i tylko te kobiety o tym nie wiedziały. Nie umiałem ocalić Esther, więc chciałem zniszczyć to wszystko, co należało się jej. Nie mogłem już nigdy powiedzieć jej niczego, więc mówiłem to samo tym wszystkim innym, ale nie wierzyły.

Dziennikarz: I dlatego pan pił? Żeby zapomnieć?

Pisarz: Nie. Piłem, żeby tego nie pamiętać. Tego i wielu innych rzeczy.

Podnosi się, ponownie robi kilka kroków, odstawia pustą butelkę i zabiera pełną. Następnie wraca na miejsce.

Dziennikarz: Właśnie. To już trzecie piwo.

Pisarz: No więc co z tego? Piję, bo mam zmartwienia. Piję, bo nie mogę spać. Bo proszki na sen mi już nie pomagają. Bo brałem je tak długo, że już przestały działać.

Dziennikarz: Pan ma chore serce. Jakby pan zapomniał.

Pisarz: A pan jest lekarzem czy dziennikarzem?

Dziennikarz: Oczywiście że dziennikarzem.

Pisarz: Więc niech pan się trzyma jednego fachu, dobrze panu radzę.

Dziennikarz: Przepraszam, jeżeli...

Pisarz: Wie pan, czym jest pisarz bez ojczyzny? Nikim. Jest nikim!  
Rozumie pan?

Dziennikarz: Ja naprawdę nie chciałem...

Pisarz: Moja żona jest Niemką, wszyscy moi przyjaciele są Amerykanami albo Szwajcarami i z przerażeniem zauważyłem, że począłem myśleć w obcym języku i tłumaczyć to sobie na polski. Wiem, że to oznacza mój koniec. Pisarz bowiem żyje w języku. Moi grabarze z Warszawy mieli rację. W tym zawodzie człowiek myli się najrzadziej. (Pije, przeciągle.)

Po dłuższej chwili milczenia.

Wie pan, o czym myślę? O Nim.

Dziennikarz: O kim?

Pisarz: O Nim. Jeśli On naprawdę istnieje, wierzę w to, że nie pozwoli mi umrzeć na trzeźwo. To moja jedyna sprawa z Nim. A resztą mogą się zająć diabli.

Dziennikarz: Wie pan, jaki jest pana problem?

Pisarz: No, słucham.

Dziennikarz: Myślę, że tkwi on w uczuciach.

Pisarz: To znaczy?

Dziennikarz: To znaczy, że kobiety pana kochały, ale pan już niekoniecznie czuł to samo do nich.

Pisarz: Znacząca uczuć i tajemnic duszy ludzkiej z pana.

Dziennikarz: Żaden znacząca, po prostu tak mi wychodzi w pana przypadku. Nie umiał pan być szczęśliwy. Chociaż, przyznaję, nie wiem dlaczego.

Pisarz: To wszystko?

Dziennikarz: I nie wiem, czy kiedykolwiek nauczy pan się tego.

Pisarz: Wiem. Po prostu biegłem przez całą drogę i mówiłem przez cały czas. To wszystko. A teraz niech pan już wstanie i idzie.

Dziennikarz: Chciałbym jeszcze tylko zapytać pana...

Pisarz: Na dzisiaj wystarczy – jestem zmęczony. Dokończymy innym razem.

Dziennikarz podnosi się, robi kilka kroków w kierunku wyjścia.

Dziennikarz: Dziękuję panu.

Pisarz: Za co?

Dziennikarz: Za ten wywiad. I życzę panu...

Pisarz: Nie musi pan. Wystarczy, że ja już sobie tego życzę. A teraz proszę już iść. Nie potrzebuję ani litości, ani pocieszenia. Teraz... Dopiero teraz wszystko się zaczyna. To, co powinno być życiem: spokój, wolność i cisza.

Dziennikarz: Do widzenia, panie Marku. I, mam nadzieję, do zobaczenia jeszcze kiedyś.

Pisarz: Do widzenia.

Dziennikarz wychodzi. Zamknięcie drzwi. Następuje wyciszenie, po czym w ciszę wdzierają się głosy spikera.

Spiker: ... kończy wizytę. I jeszcze jedna informacja, która nadeszła do nas dzisiaj. W nocy z 13-ego na 14-ego czerwca w domu redaktora zachodniemieckiej telewizji ZDF – Hansa Jurgena Bobermina w Wiesbaden w Republice Federalnej Niemiec, zmarł nagle polski pisarz przebywający od jedenastu lat na emigracji, Marek Hłasko. Przyczyną śmierci, jak podaje raport lekarski, była zapaść spowodowana działaniem alkoholu w połączeniu ze środkami nasennymi. Polska kultura poniosła niepowetowaną stratę. Były to wiadomości Radia Wolna Europa. A teraz (głos spikera powoli zanika) zapra...

Po krótkiej chwili.

Tu program pierwszy polskiego radia. I jeszcze jedna informacja, która właśnie dotarła do nas z Niemiec. Dzisiaj w Wiesbaden w nocy zmarł antypolski pisarz Marek Hłasko, przebywający z własnego wyboru od 1958 roku na emigracji. Tak kończą wszyscy, którzy odrywają się od swoich korzeni, zapominając, gdzie ich rodzinny dom. Odszedł człowiek, który zdradził ojczyznę, na którą pluł plwociną reakcjonistów, ale który nie doprowadził nawet do tego, żebyśmy go znienawidzili. Po chwili muzyki zapraszamy (głos spikerki powoli zanika) na następny punkt progra...

Muzyka: W. Wysocki, utwór zatytułowany *Ja nie lubliu (Nie lubię)*.

W słuchowisku korzystałem z książek M. Hłaski, m.in.: *Piękni dwudziestoletni*, *Sowa, córka piekarza*, *Nawrócony w Jaffie*, *Cmentarze*, *Ósmy dzień tygodnia*, *Następny do raj*, *Utwory Wybrane*, skąd zaczerpnąłem wiele cytatów. Pomocną również okazała się książka Sonii Ziemann *Byłam żoną Marka Hłaski* oraz *Listy Marka Hłaski* Temidy Stankiewicz Podhoreckiej.

13.05.2014 r.

KONIEC